

## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocz-  
nie rub. 7 kop. 23, półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80  
miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50, rocznie rub. 10.  
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

*Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.*

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za  
wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-  
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-  
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W. W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego” w Po-  
znaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

## BEZSTYLOWOŚĆ ŻYCIA WSPÓŁCZESNEGO.



Nie wszystkie prawdy po wszystkie czasy jednakowo prawdziwymi się wydają. Pewne prawdy w pewnych epokach szczególnego nabierają blasku, natomiast w innych epokach zachodzą jakby w cień, stają się niewyraźne, dla wielu niedostrzegalne zgoła.

W XVIII-tym wieku powiedziano we Francji: *Styl, to człowiek*. I zaiste żadna ze znanych nam epok bytu i rozwoju nowożytnego nie była odpowiedniejsza do ujawnienia tej wielkiej, ale nie zawsze widocznej prawdy, za dni naszych zupełnie nawet niewidocznej. Jakże człowiek ma być określony przez styl, gdy ten wogóle nie istnieje; gdy ulega częściowemu lub całkowitemu zanikowi tak w życiu, jak i w sztuce?

Francja przedrewolucyjna w obu tych dziedzinach stylową była w najpełniejszym znaczeniu tego słowa. Dzisiaj stylowości daremnie szukać w jakimkolwiek z krajów europejskich, a we Francji mniej jej pono, niż gdziekolwiek.

Nie chcę przez to powiedzieć, aby epoka nasza pozbawioną była pisarzy i artystów, mających styl, mniej lub więcej wybitny, — utrzymuję tylko, że nie ma go w życiu dzisiejszym, w obyczajach i stosunkach, w ubiorach i sprzętach, w całym wogóle sposobie i trybie życia dzisiejszych ludzi. Zresztą jedno idzie za drugim. Bezstylowość naszego bytu pociąga za sobą bezstylowość naszej sztuki, nie tyle w poszczególnych, indywidualnych jej objawach, ile w ogólnych, zasadniczych jej rysach, w trwałych typowych jej formach.

Na wzniesionym niedawno w Wiedniu bardzo oryginalnym gmachu tak zwanej *Secessy*

widnieje napis: *„Der Zeit ihre Kunst, der Kunst ihre Freiheit.”* Epoka sztuka, sztuce wolność. Wyrażano w nim pewne dążenie najnowszych prądów artystycznych, odpowiadające istotnym potrzebom epoki. Cóż z tego, że posiada ona sztukę bogatą, wielostronną, szczyjącą się mnóstwem wybitnych talentów, nie posiada *własnej swej* sztuki, któraaby przenikała całe jej jestestwo, żyła krwią jej krwi, wrastała wgłąb jej organizmu życiowego.

Ludziom dzisiejszym nie brak zaiste wrażeń artystycznych, odpowiadających duchowi czasu. Znaleźć je mogą w licznych galeriach, muzeach, teatrach, w salach koncertowych, książkach i czasopismach. Wszędzie tam pełno dzieł sztuki, wyrosłych z gleby życia współczesnego, wykarmionych żywotnymi jego sokami. Ale uprzytomnijmy sobie stosunek sztuki do naszego bytu codziennego, domowego, do czysto osobistych w nim spraw naszych życiowych, począwszy od najwznioślejszych aż do najpospolitszych. Uprzytomnijmy sobie kościoły, w których się modlimy, domy, w których mieszkamy, odzież, ubrania, narzędzia, sprzęty domowe, którymi się posługujemy... O ile w tych wszystkich rzeczach i dziełach znajdziemy jakiś wybitniejszy objaw artyzmu, pochodzi on z naśladownictwa dawnych wzorów i przystosowania się do dawnych stylów, o ile zaś okażą się one oryginalnymi twórcami nowoczesnymi, są zazwyczaj bardzo nieartystyczne, lub artystycznie potworne.

Czyż nowa sztuka niesłusznie dąży do wyzwolenia się z tego dylematu naśladownictwa stylowego, lub zupełnej bezstylowości?—Czyż nie słusznie domaga się swobody w tworzeniu rzeczy samoistnych i oryginalnych? Zwrot ten objawia nowa sztuka tak w stosowanej, jak i w czystej swej twórczości. W pierwszej chce ona wogóle powstać do wyższego

życia i rozwoju, w drugiej usiłuje wznieść się do idealnej stylizacji, zupełnie obcej i niezrozumiałej poprzedzającemu bezpośrednio dobie obecnej okresowi naturalistycznego realizmu.

Ale jakież zamęt w tych dążeniach! Jakże często pragnienie wolności zamienia się w nich na wyuzdanie indywidualnej samowoli! Brak im, niestety, szerszej podstawy życiowej. Zawieszona w obłokach tworzą z nich kształty, które wydają się nieraz, jak chmury przy zachodzie słońca, jakimiś zaczarowanymi pałacami sztuki, a w istocie rzeczy są tylko powietrznymi jej majakami, które wnet bez śladu się rozwieją.

Trzeba, aby życie podrzuciło „granit rzeczywistości,” pod owe stylizowane tęcze symboliczne, czy secesjonistyczne; trzeba, aby styl artystyczny oparł się na jakimś realnym dążeniu do stylowości życiowej, jako na nieodzownej swej podwalinie. Nie sposób tu wy-czerpująco określać tego dążenia istotę. Dość powiedzieć, że ma ono na celu jaknajpełniejsze opanowanie materii przez formę, najdoskonalszą wszelkiej formy zewnętrznej kryształizację. Tam pomyślnie się ono rozwija i doniosłe osiąga skutki, gdzie nie ma nadmiaru materii i nadmiar ruchu nie przeszkadza prawidłowemu układaniu się jej cząsteczek. Potrzeba przeto pewnej równowagi w materialnych stosunkach życia i względnego wśród nich spokoju, aby mogły one krystalizować się stylowo.

Trudno zaiste wskazać w dziejach epokę, któraaby mniej od epoki obecnej odpowiadała tym wymaganiom. Przedewszystkiem ta beżmierna masa materii, którą rozmiłowana w niej kultura współczesna wtłacza ciągle w nasze życie społeczne, aby ją przerabiać odpowiednio do różnorodnych jego potrzeb i wymagań, a następnie wynikający ztąd nieustanny ruch, nieustanne wrzenie napływających zewsząd żywiołów materialnych.

I gdzie tu wobec tego mówić o jakiegokolwiek krystalizacji, o układaniu się zjawisk i stosunków życiowych w prawidłowe i wyraźne formy estetyczne, którym możnaby przyznać określony charakter stylowy.

Jednym słowem przemożny materyalizm życia współczesnego wyklucza wszelką idealną stylizację jego form i kształtów, zamienia je na jakąś amorficzną, bezstylową masę, od której tak dziwnie odbijają stylowe zabytki dawnej sztuki lub dzisiejsze jej naśladownictwa.

Wytworny arystokrata francuzki z XVII-go wieku przywdziewał strój, pozbawiający go wszelkiej swobody ruchów, siadał na taburetach i krzesłach, zmuszających go do zachowania sztywnej, wyprostowanej postawy — znosił mnóstwo przeróżnych niewygód, byle tylko sobie i swemu otoczeniu nadać znamiona stylowego aryzmu. Zapewne, było to prerafinowanie form życiowych rozwijających się w zbyt zacieśnionej cieplarniano-dworskiej atmosferze, ale była w tem i pewna szlachetna idealizacja materyjalnej strony życia. A oto na przeciwległym krańcu bytu ludzkiego prosty nasz góral podhalski miesiącami strugać będzie jakiś czerpak do żętycy, obrabiać będzie swój stół sosnowy, obciosywać belki swej chaty, aby tym wszystkim przedmiotom nadać formy, odpowiadające jego poczuciu estetycznemu, przystosowane do odczuwanego przezeń bezwiednie ideału pewnej określonej stylowości, która cały ubogi byt nędzarza ozłaca kilkoma promieniami prawdziwego piękna.

W przeciwieństwie do tego patrzmy oto, jak przeciętny człowiek „kulturalny“ naszych czasów w ukształtowaniu swej postaci zewnętrznej i w urzędzeniu swego otoczenia życiowego zupełnie zdaje się nie dbać o wszelkie estetyczne formy stylowe, a powoduje się jedynie sybaryckim pragnieniem wygody i używania zmysłowego, oraz dorobkiewiczowską żądzą wzbudzenia powszechnego podziwu. A więc w mieście, które ongi było stolicą najwytworniejszego gustu, wzniesie zupełnie bezużyteczną, a estetycznie bezkształtną wieżę z żelaza, aby nią zadziwić gapiów całego świata i uczynić z siebie zamaskowaną poczwagę i na poczwarną wszedłszy maszynę pędzić będzie na złamanie karku, rad, że go oklaskuje podobna mu europejska gawiedź kulturalna; zbuduje sobie wielopiętrowe gmachy, podziurawione niezliczonymi oknami na podobieństwo olbrzymich kojców dla gęsi, napelni je najbanalniejszym komfortem, przywdzieje ohydne modne stroje, a upstrzywszy to wszystko tu i owdzie różnymi naśladownictwami stylowymi, powie z dumą samozadowolenia: oto doszliśmy do szczytu kultury, przyswoiliśmy sobie wszelkie najcenniejsze jej zdobycze!

Można bardzo powątpiewać o prawdziwej kulturalności tej kultury. Wielki artysta współczesny, Fryderyk Nietzsche w krótkich i dobitnych słowach orzeka, czem ona powinna być na prawdę: jednością stylu we wszystkich objawach bytu ludzkiego danej epoki. Definicja ta jest rozszerzeniem dawnego określenia: styl—to człowiek. W XVIII-ym wieku, gdy je wygłoszono, tylko w jednostce lub w zacieśnionej sferze społecznej mogła się ujawnić stylowa jednolitość kultury. Czy osiągnie ona kiedykolwiek ujawnienie w życiu

całych społeczeństw, narodów, plemion? Czy treść ich życia zdoła kiedykolwiek osiągnąć doskonałą krystalizację w zewnętrznych jego formach? Formy takie byłyby niczem innym, jak pełnem objawieniem się ducha ludzkiego w materyjalnym świecie ludzkiego bytu. Jakże daleko do tego epoce obecnej, w której materyjalność bytu tak ogromnie przemaga, w tak bezkształtnym, bezstylowym, przelewa się falowaniu.

Walery Gostomski.



Marya Rodziewiczówna.

## Joan. VIII, 1--12.

### POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

O tę „pannę“ poskarżyła się matce i Zarębina pół-zartem zrobiła Stuchowi uwagę, że dziwnie do jej córki przemawia.

— Weale do niej nie przemawiam! — odparł.

— No przecie — mówi pan do niej: niech panna.

— A jak mam mówić?

— W naszej sferze do córki domu mówią: proszę pani.

— Mogę mówić: proszę pani,—ale zarazem proszę, żeby ta pani nie przerywała lekcji braciom, za które jestem odpowiedzialny.

Od tej pory Stuch ilekroć się odezwał do Maniusi, mówił: proszę pani, ale tak lekceważąco, że gotowa była płakać ze złości.

Po ulokowaniu córki u Lisickiej, Zarębina była tak zadowolona, że przy obiedzie pochwalała się tem, pytając Stucha, czy zna tę pensję.

— Pensję żeńską? Żadnej nie znam. To podobno dobry interes — daje gruby procent. Uczyć się można wszędzie — jak kto chce, a raczej, gdy potrzebuje.

Nie dopowiedział, ale Manusia czuła w tonie, że ona ani chce się uczyć, ani potrzebuje. To prawda była, ale w jego ustach — to była obelga.

Gdy zaczęły się lekcje tańca, i Zarębina zapowiedziała Stuchowi, że w te dni powinien chłopców wcześniej zwalniać, odpowiedział:

— Ponieważ tego powinni i potrzebują się uczyć, niech się sami starają prędzej zadania odrobić. Moje lekcje odrabiają nie jak dla siebie, ale jakby dla mnie. Może dla tańców będą pilniejsi.

Ten człowiek nie rzekł słowa bez krytyki, bez niechęci ukrytej, bez złości. Nie dziw, że go niecierpiano w domu, a siostry Zarębiny nawet nie nazywały inaczej, jak „złośliwa małpa.“

Naturalnie tylko „wuj Bolek“, który czynił całemu światu „na złość“, okazywał Stuchowi sympatyę.

Gdy przychodził do Zarębów, wstępował zawsze na cygaro do studenta i wyciągał go na rozmowę.

On to namówił Zarębę na tego korepetytora i on swemi pochwałami go utrzymywał, pomimo babskich intryg. Jednakże po rozmowie z żoną Zaręba czuł się obrażonym ową nazwą „burzujów“, i postanowił rozmówić się seryo ze Stuchem.

Po obiedzie zatrzymał go w jadalni i wytoczył sprawę.

Pani Teresa wycofała się dyskretnie, dzieci odesłano do nauki.

Ale gdy Zaręba powtórzył jego rzekome powiedzenie, Stuch spokojnie, ale stanowczo zaprotestował:

— Nigdy z panią o tem nie mówił, ani wyrazu tego nigdy nie używał.

Zaręba rozdrażniony zawołał żonę. Okazało się po konfrontacji, że to jej powtórzył Józio.

Zawołano Józia. Z początku upierał się, że to słyszał z ust Stucha — pod jego zimnem, badawczym spojrzeniem stracił rezon, począł bąkać i mylić — mieszać się i plątać, wreszcie okazało się, że przed matką zmyślił. Zaręba oburzony, uczynił piekło w domu. Dostało się i chłopcom i żonie — wstyd mu było okropnie.

Stuch przeczekawszy burzę, rzekł:

— A teraz ja panu mam parę rzeczy do powiedzenia przy Józiu. Młodsze słuchać nie powinny.

Na chłopcu zcierpła skóra, gdy został sam — bez matki.

A Stuch spokojnie opowiadał.

— Józio jest w klasie czwartym z końca w dzienniku, a najstarszym wiekiem. Ma sześćnaście lat, i naturalnie ma siebie za dorosłego. Przyjacielem jego i najmilszym kolegą jest niejaki Adamski, najgorzej notowany w klasie. W zeszłym tygodniu Józio jakoby zgubił zegarek, i opowiedział matce, że ukradziono mu w klasie atlas. Teraz pozostawiam Józiovi, żeby opowiedział prawdę.

— Jak Boga kocham, zgubiłem zegarek! — zawołał Józio.

— Kłamiesz! — rzekł spokojnie Stuch. — Chcesz zatem, żebym ja ojeu prawdę opowiedział, gdzieś był z Adamskim tego wieczora

Chłopak milczał, a Stuch zwrócił się do Zaręby i mówił:

— Pani jest stale zdania, że ja chłopców zamęczam naukami, że powinni używać ruchu i rozrywek. Dlatego też często pozwala im iść w odwiedziny do kolegów, na ślizgawkę, na gimnastykę, do krewnych. Młodszy, bardzo łakomy i ociężały, najchętniej bywa u ciotek, które go okarmiają słodyczami, Józio najczęściej pokryjomu bywa u Adamskiego. Jak i czem się zabawiają, dowodem, że zegarek i atlas sprzedali żydowi za trzy ruble i spędzili ten wieczór w bardzo nieciekawej bawaryi na Podwalu.

Zaręba chwycił się za głowę, przerażony, a potem skoczył do osłupiałego Józia, porwał go za ucho.

— Jak śmiałeś zrobić coś podobnego?

Józio, widząc, że kłamstwem nie poradzi, uderzył w bok, rzucił się ojeu do nóg, jękał wśród chlupania, że to Adamski go namówił, że on nie winien, że nigdy już więcej tego nie będzie, trząsł się ze strachu kary.

Wysłuchał z bogobojną miną wyrzutów i groźb ojca, obiecał wszystko, co mu rozka-

zono, i wreszcie uwolniony, uciekł do swego pokoju, pozornie skruszony, w duszy rad, że się wykpił i wściekły na Stucha.

Teraz przysła kolej na młodszego. Ten miał na sumieniu jeszcze niewinniejsze żądze, łakomstwa. Ale już parę razy zciągnął z biurka matki na słodycze po parę złotych i z kolegami prowadził ciągle handle piór, zeszytów, książek — na cukierki. Tłusty był, limfatyczny, o cerze nalanej, do nauki nadzwyczaj tępy i niechętny. Pomimo czternastu lat zaledwie był w trzeciej klasie, z małą nadzieją promocji.

Wysłuchawszy wszystkiego, Zarębę ogarnęła rozpacz.

— Co z nich będzie! — mruknął. — Tyle starań, tyle kosztów, bezustanna opieka i kierunek. Toć nie my winni — to teraz taki prąd, takie warunki! Co to za świat!

Stuch milczał. Twarz jego zimna, ostra, bez zarostu, o wystających policzkach i szczękach potężnie rozwiniętych, robiła wrażenie jakiejś maski złowieszczej.

Na chwilę błysnęły dziko oczy i zgasły, — jak iskra z pod popiołu.

Zaręba pożałował w duchu, że rozpoczął z nim tę nieszczęsną rozmowę. Czuć było, że ten proletaryusz — pracowity, zdolny, zdalny i silny do boju i z losem i z biedą — pewny dojścia do celu, zdobycia sobie miejsca i stanowiska — patrzy z politowaniem na tych, co wszystko mają gotowe i staczają się w dół.

Ostatecznym rezultatem rozmowy było, że postanowiono ograniczyć Józiovi urlopy i przyjąć służącego, któryby go odprowadzał i zdawał sprawę jak i z kim się zabawia. Pani Teresa zboleła, dostała migreny, a że to był dzień tańców, dzieci poszły pod eskortą Jankowskiej, a Zaręba został z wujem Bolkiem, przed którym roztoczył wszystkie swoje troski, i co najoryginalniejsze — pretensje do Stucha.

— To jego wina! Chłopcy go niecierpią, a tylko się boją. On nie umie ich zjednać, zdobyć zaufania, nie stara się pozyskać ich serca. Stanowczo od wakacyi zmienię korepetytora.

— Wiesz co? Zmień raczej chłopców, bo tym twoim nikt nie poradzi.

— No już daruj, ale gorsi od innych nie są!

— Nie — takich jest mnóstwo w tej tak zwanej uprzywilejowanej klasie, która uczy się tylko by uniknąć wojska, która jest chowana w zbytku i wygodach, i która rodzi się po to — by dziedziczyć. Przy wrodzonej ludzkości żądzy użycia i próżniactwa, po co tacy mają pracować i myśleć, kiedy wszystko dostaną gotowe.

— Naturalnie wedle ciebie tylko takie Stuchy mają cnoty! Et, — coraz dziksze masz poglądy! Ale ten Kato, szpiegujący Józia, ma też dziwne znajomości po bawaryach z Podwala i wśród Żydów paserów. Nie wiadomo gdzie on spędza wieczory — ten mentor.

— Ja też tego jestem ciekawy i nawet postanowiłem dziś go śledzić!

Jakoż, gdy Stuch wyszedł ze swej stancyi, pan Bolesław się pożegnał i dogonił studenta w bramie.

— Pan w którą stronę? — spytał.

— Ja dość daleko, na Kruczą.

— Na wieczorek? Co? Może do panienek?

— Do kollegi.

— No to pójdziemy razem do rogu. Hu, jaki szpetny czas!

— Jak się ma całe buty i obiad w brzuchu, to nie tak bardzo przykro!

— Bywało panu rozmaicie?

— Eh — nie bardzo. Co krok spotykałem stokroć nędzniejszych. Niema nic lepszego, jak porównanie z gorszym.

— A z lepszym? Nie zazdrości pan?

— Nie, to fałszywe. Lepiej jest mało komu. Zdaje się pozornie, ale tylko pozornie.

Doszli do rogu, Stuch zwolnił i pożegnał się, widocznie rad się pozbyć towarzystwa. Gdy się nieco oddalił, pan Bolesław poszedł za nim zdaleka. Student zamiast na Kruczą, skręcił w Aleje Jeruzolimskie, potem na Nowy-Swiat i wszedł do jednej z kamienic, zamieniwszy z siedzącym w bramie stróżem kiwnięcie przyjazne głową.

Po chwili pan Bolesław zagadnął cerbera:

— Czy pan Stuch tu mieszka?

— Nie, tu niema takiego lokatora.

— Ja pytam o tego studenta, co tu wszedł przed chwilą.

— Nie widziałem nijakiego studenta. Tu żadne studenty nie mieszkają. Panu się coś uwidziało. Tu jest zakład stolarski, i szwaczka, i akuszerka, i biuro pana Vogla, i takie państwo rozmaite, ale studenty to tu wcale nie bywają. Na to jezdem stróż, żebym wiedział!

Pan Bolesław dał mu srebrniaka, ale stróż choć datek skwapliwie przyjął, obstawał przy swoim, nawet powoływał się na świadectwo „rządcego.“

Pan Bolesław wszedł w bramę, przejrzał listę lokatorów, która go w niczem nie objaśniła, i odszedł zanotowawszy tylko w pamięci numer domu.

— Szpicel, psiakrew! — zamruczał za nim stróż.

Stuch minął jedno podwórze i wszedł na słabo oświetlone i brudne schody bocznej oficyny. Nie mieszkali tu kapitaliści, nie kwitły tu kwiaty.

Podwórko brukowane kamieniami ostremi, ogrodzone murami szaremi od węglowych dymów i kurzu, ozdabiał śmietnik i pompa, na schodach panował zaduch jedzenia lichego, pleśni i kopcju lampek, za drzwiami mieszkała bieda, praca, ciemnota, dzikość lub apatia, choroba lub występki.

Na drugim piętrze zapukał Stuch do drzwi, na których był napis: Anna Gałęcka, szwaczka.

Otworzyła mu dziewczynka dwunastoletnia, szczupła i wybujała, blada, o wielkich płomiennych czarnych oczach, odziana ubogo, ale schludnie w ciemny barehan, z bujnym warkoczem kruczym na plecach.

Otworzyła, dygnęła i rzekła, uśmiechając się białymi ślicznymi zębami:

— Już wszyscy są. Myśleliśmy, że pan nie przyjdzie.

Nie nie odparł, rozebrał się, jak w domu, kładąc palto na jakimś łóżku, ubogo zasłanem, i wszedł do drugiego pokoju, mówiąc poufale:

— Dobry wieczór, orleńta!

— Dobry wieczór! — odpowiedział cieniutki chór dzieciennych głosów.

Siedziało ich dziesięcioro około długiego stołu, na którego jednym końcu, kobieta starsza, o twarzy zchorowanej i żółtej, szyla coś na maszynie, a obok niej siedziały z robotą w rękę dwie starsze dziewczynki. Reszta dzieci: chłopcy i dziewczęta miały przed sobą książki i kajety.

Kobieta podniosła na studenta oczy zmęczone, zaczerwienione, i starała się uśmiechnąć. Gdy światło objęło jej twarz, ukazała się uderzająco do niego podobna, tylko o dobre dziesięć lat starsza.

Stuch kiwnął głową i wziął się do lekcji.

Dzieci, było to młode pokolenie ze wszystkich suteryn i strychów kamienicy, nauka bardzo początkowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Wiosna na obczyźnie.



Sterczą szkielety nagich drzew  
Nad smugiem martwej trawy;  
Grzędy zaściela zgnily liść,  
Niby kobierzec rdzawy;

Na polach kiśnie w bruzdach — śnieg,  
Na drogach gestwia błota;  
Nad stawem ciężka zwisa mgła,  
Mgła ciężka, — jak tęsknota...

Pobladle słońce w zwojach chmur  
Ukrywa się nieśmiało:  
Jakiś posepny szary ton  
Zalewa ziemię całą...

Smutno i zimno... Boże mój!  
A u nas tam — daleko —  
Oddawna ciepły wiosny dech  
Słoneczną plynie rzeka!

Tam — u nas — pola bujna ruń  
Obficie już obsiadła:  
Złoty kaczęćców barwny łan  
Pilnuje wód zwierciadła;

U nas na łąkach jaskrów kęp  
Już nikt się nie doliczył!  
Powietrze pełne ptasząt, pszczoł,  
I woni, i słodyczy.

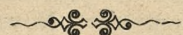
Na grzędach naszych dziewczuch rząd  
Przewraca żywną ziemię;  
Przed białym dworkiem czarny pies  
Oblany słońcem — drzemie...

Ach! a na ganku dworku tam,  
Staruszków srebrnych dwoje  
Siedzi przy sobie, patrzy w dal  
I szeptem imię moje!...

To oni! Oni!... Cicho! stój!  
Szalone biedne serce!  
Nie wiesz, że wiosna, oni, kraj,  
To jeno sny — szyderce?

Jeno sny dla mnie... Prawdę zaś  
Obcyzna, chłód i ślota,  
Zeczerniałe drzewa, zgnily liść,  
Mgła ciężka, — jak tęsknota...

Wanda Krasuska-Moryczowa.



## Czego żądać powinny dzisiaj kobiety?



W chwili, kiedy wobec spodziewanych i zapowiedzianych Najwyższym Manifestem reform, wszystkie klasy społeczeństwa na całej rozciągłości państwa rosyjskiego występują z żądaniami i uzasadniają potrzebne dla nich zmiany, — niezmiernie ciekawym i charakterystycznym jest głos pani Sokołowej, wydrukowany w „Nowostiach“ z dnia 3-go Kwietnia r. b.

Pani Sokołow zwraca uwagę przedewszystkiem na ten fakt, że do tej chwili wszystkie żądania, wypowiedane z łamów pism rosyjskich, zarówno jak i rezolucyi zebrań przeróżnych, nie wspomniały ani słowa o potrzebach drugiej połowy ludzkości — o kobietach.

Z żalem stwierdza p. Sokołow, że kobietom brak własnej inicjatywy, że idą one za żądaniami mężczyzn, przyzwyczajone tylko być ich cieniem, nie wystawiając zupełnie własnych, samoistnych aspiracji.

Dalej autorka artykułu zarzuca kobietom brak solidarności, zajmowanie się drobiazgami, bez myśli o szczęściu całej ogólnej masy kobiet.

Wskazuje dalej fakt, że kobiety nie są popierane, czego dowodem, że obecnie sprowadza się do Rosyi lekarzy zagranicznych, a kobietom - lekarkom odmawia się prawa współdziałania, jak to uczynił w Kijowie hr. Ignatiew.

Ze zgryźliwą ironią mówi wreszcie p. Sokołow, że życie kobiet, oparte „na fikcyi miłości“, jest albo jednym pasmem świątecznych, pełnych rozkoszy dni — wśród bogatych, albo nędzy, jarzma i niewoli — u biednych. Wolter umierając, mówił: „Zostawiam świat tak głupim, jakim go zastałem“, — „a zwłaszcza kobiety“, — dodaje p. Sokołow.

I oto jak formuluje ona żądania kobiet, mając nadzieję, że wszystkie kobiety i cały ogół podpisze się pod ów program.

Żądania zaś owe są następujące:

a) Prawo uczęszczania do wszystkich Uniwersytetów państwowych i otrzymywania dyplomów z ukończenia kursów;

b) Prawo otrzymywania posad profesorów i docentów;

c) Prawo wspólnej nauki w szkole średniej;

d) Prawo udziału w samorządzie miejskim i ziemskim (według cenzusu), prawo wyboru na wszelkie stanowiska;

e) Prawo dziedziczenia równe z mężczyznami;

f) Dla włościanek: prawo brania udziału w zebrań i możność wyboru na miejsca starostów, sołtysów i t. d., prawo posiadania ziemi na równi z mężczyznami;

g) Prawo udziału w służbie wojskowej;

h) Dla robotnic fabrycznych: skrócenie dnia roboczego, konieczność inspekcji kobiecej, a to z tego powodu, że mężczyźni nadużywają swej władzy, wreszcie podniesienie ceny płacy.

Zdaje mi się, że w szlachetnym, dyktowanym najczystszyimi uczuciami porywie owym, p. Sokołow nieco pospiesznie i tak *au bout de la plume* skonstruowała swój program.

Ów szkic programu zawiera w zasadzie kilka pierwszorzędných i nader ważnych żądań, parę znów trochę ryzykownych, pomija zaś wiele palących i nieodzownych kwestyi.

Że zaś w kwestyi tej od dawna głos podnieść pragnąłem, zwłaszcza wobec wypadków ostatnich i owej dążności do reform, mających na celu dobrobyt wszystkich członków społeczeństwa, przeto korzystam skwapliwie z programu p. Sokołow, aby parę słów w sprawie jej powiedzieć.

Zauważę przedewszystkiem, że w jednym z ostatnich numerów „Nowosti“ Gr. Starcew

bardzo dowcipnie odpowiedział p. Sokołow na jej wojenne zachcianki, zauważywszy na wstępie, że służba wojskowa nie jest prawem — ale powinnością, obowiązkiem, co jest bardzo różne, wyrażając zdanie, że co do tego punktu to program jej chyba nie znajdzie echa w żadnym kobiecym sercu.

Niedawno sprawę tę poruszył we Francyi d-r Toulouse.

Jak wiadomo, parlament francuzki uchwalił nowe prawo dwuletniej, ogólnej, obowiązkowej służby wojskowej.

Owóz d-r Toulouse zwraca uwagę na to, jak się wobec tego faktu zachowują pionierzy feminizmu, dążący do zupełnego równoprawnienia obu płci?

Nie ulega wątpliwości, że jeśli kobieta żąda zrównoważenia zupełnego w prawach obywatelskich, a służyć wojskowo nie może — powinna dać zatem jakąś kompensatę w tym względzie.

D-r Toulouse zwraca uwagę na ten fakt, że np. na wydziale medycznym, gdzie cenzus nauk początkowych jest jednaki przy przyjęciu, gdzie następnie kobieta-studentka i student jednakie zupełnie mają prawa i zajęcia, przyjdzie taki moment, kiedy w chwili najcięższej pracy umysłowej studenta wezmą pod sztandary na całe dwa lata. Traci on wiele, zapomina ogromnie dużo, wytrąca się zupełnie z biegu swego życia i po dwóch latach wraca, aby być młodszym towarzyszem swych szczęśliwszych kolegów i koleżanek. Tacy studenci powracający po dwóch latach służby, to jak rekonwalescenci po długiej chorobie: wszystko nabyte odrabiać muszą na nowo i na konkursach będą stanowczo przez koleżanki zwyciężeni.

Teoretycy feminizmu opierający się na istotnym równoprawnieniu, fakt powyższy muszą przyjąć pod uwagę, tem więcej, że zdarzać się on musi we wszystkich zawodach, w których kobiety na równi z mężczyznami pracować mogą.

D-r Toulouse zaznacza, że nierównomierność płci pod względem społecznym objawia się raz w usunięciu kobiet od służby wojskowej, jako niemożliwej dla nich, z drugiej strony w roli kobiety jako matki, wypełniającej więc częściowo pod tym względem swe zadanie wobec państwa, dostarczając mu żołnierzy. Wszelako zwolennicy równoprawnienia zupełnego powinni znaleźć bezpośrednią rekompensatę.

Tę widzi d-r Toulouse w przyrównaniu kobiet do dwóch kategorii mężczyzn, przewidzianych przez nowe ustawodawstwo.

Według ostatniego prawa mężczyźni silni służyć czynnie, dotknięci zaś pewnymi wadami są odkomenderowani do t. z. służby pomocniczej, nakoniec słabi, chorzy, kalecy, nie mogąc służyć, płacić mają pewną taksę wojskową, o ile nie są zupełnymi inwalidami lub absolutnymi biedakami.

Dlaczegoż więc bogata dziewczyna nie miałaby płacić swej taksy wojskowej, gdy biedny a zdrowy chłopiec odsługiwać musi swą powinność wojskową, z największym nieraz uszczerbkiem dla rozwoju swej dalszej przyszłości?

Nakoniec d-r Toulouse uważa, że kobiety lekarki mogłyby doskonale zająć stanowiska w lazaretach i szpitalach, inne zaś objąć miejsca w biurach i administracyach.

Wszelako ów podatek w naturze, jakim jest powinność wojskowa, może stanie się w przyszłości przeżytkiem społecznym: wojsko stałe zastąpią płatne milicje, jak np. w Stanach Zjednoczonych, a wówczas upadnie i dla kobiet konieczność kompensaty za służbę wojskową mężczyzn.

Obecnie jednak daleko do tego.

Jeżeli zaś zatrzymałem się nad tą sprawą dłużej, to dlatego, że na pozór śmieszne żądanie p. Sokołow, o służbie wojskowej dla kobiet, które wywołało żarty o przyszłym

państwie amazonek, ma jednak w zasadzie pewną dozę słuszności i tu np., we Francyi, staje powoli na porządku dziennym, wobec żądań równoprawnienia ze strony kobiet.

Że zaś trzeba raz na zawsze, gdy się coś tworzy lub zmienia, przyjąć tę zasadę, że przy budowie owych posad należy objąć wszystko, co tylko nowego w danym zakresie nauka i życie wysunęły naprzód, a stosować owe nowe wymogi opierając się na najwyższem znanem ich udoskonaleniu współczesnym, — przeto ten punkt żądań p. Sokołow omówiłem szerzej, gdyż jak widzimy, nie jest jedną kwestyą ta niepokoju.

P. Sokołow przedewszystkiem zajmuje sprawą wyższego wykształcenia kobiety: żąda ona prawa uczęszczania do wszystkich uniwersytetów.

Żądanie to jest zupełnie słuszne, gdyż nauka i oświata powinny być równe i jednokie dla wszystkich, a otwarcie wszystkich uniwersytetów dla kobiet ułatwi im naukę w kraju, którą teraz muszą odbywać przeważnie za granicą.

W kraju łatwo studentce zarobić na życie, a przynajmniej łatwiej, niżli za granicą, w kraju mieć może lekcyjne i korepetycyjne, których nie dostanie za granicą, gdzie jak np. w Paryżu są młode dziewczęta żyjące w strasznej nędzy, ostatnim wysiłkiem sił zdobywające naukę, aby później wpaść we wszystkie choroby, a przynajmniej wyjść ze zrujnowanem zdrowiem długimi ograniczeniami.

Prawo na professorat i docenturę jest również słusznem, i nikt mu zaprzeczać nie będzie.

Natomiast nie rozumiem dobrze idei p. Sokołow co do „wspólnej“ nauki w szkole średniej.

Nie stają tu bynajmniej uzbrojony w pedanterię starego pedagoga lub w pruderyę dewotki, ale nie widzę jakoś owocnej pracy z nauki wspólnej młodych dziewcząt i chłopców razem, w wieku najtrudniejszym do prowadzenia ich każdego z osobna, kiedy budzą się zmysły, kiedy natura dopomina się pewnych praw swoich.

Nie o zdawkową moralność tu chodzi, ale przedewszystkiem o istotny pożytek z takiej wspólnej nauki wynikający.

Kto zna dobrze myśli młodzieży szkolnej, to sam przypomni sobie swe lata gimnazyalne i wspomni sobie swych kolegów, kto zna pensye żeńskie i choć trochę głębiej wniknie w tę sprawę, od razu zgodzi się, że połączenie nauki dziewcząt i chłopców jest niemożliwem; w takich klassach panowałyby takie prądy anarchii, takie zaloty i takie roztaczanie kokieterii, obok rywalizacyi ze strony „panów“, że przy zwykłej dystrakcyi uczniów, chyba ani jeden wykład nie miałby praktycznego znaczenia.

Inną jest rzeczą przy reformie programu szkoły średniej zrównać tak program szkół żeńskich i męskich, aby patent z jednych i drugich dawał jednakie prawa i wstęp do tychże wyższych zakładów naukowych.

Prawo udziału w samorządzie miejskim i ziemskim, prawo wyboru na wszelkie stanowiska, — w ogóle prawo wyborcze i prawo na wybór — słuszne i potrzebne w zasadzie, dzisiaj nie są jeszcze zrealizowane przez bardzo nawet posunięte społecznie i demokratycznie narody.

Europa nie przyznała nigdzie kobietom prawa wyborczego i wybieralnego. Jedynym krajem, gdzie kobiety mają głos wyborczy, są australskie kolonie angielskie.

Oparte na federalistycznym ustroju (commonwealth of Australia), Australia i Nowa Zelandya zyskały jak najszerzą autonomię, przyczem południowe stany australijskie i Nowa Zelandya wprowadziły w życie i w praktykę takie reformy i prawa, o których marzą napróżno, jak dotychczas, socjaliści europejscy.

W zajmującej nas obecnie kwestyi, zaznaczą pokrótce stanowisko kobiety w tych krajach, stanowisko istotnie wyjątkowe społeczeństwie.

Na zasadzie prawa z r. 1893-go w Nowej Zelandyi i prawa z r. 1895-go w Południowej Australii, kobiety otrzymały na równi z mężczyznami prawo głosowania przy wyborach do Izby.

Parlament New-Zelandzki bardzo małą większością głosów odmówił kobietom prawa zasiadania w Izbie, wszelako w Południowej Australii żaden paragraf konstytucyi nie ogranicza w tym względzie faktycznie praw kobiety i nawet kobiece ministerium byłoby tam możliwe.

Ruch feministyczny jest tam w ogóle niezmiernie rozwinięty, a główne żądania kobiet sformułować się dadzą, jak następuje: prawa ochronne dla służących, robotnic i sprzedających, oraz innych pracowniczek w handlu i przemyśle, prawo głosowania i otrzymywania posad rządowych we wszystkich Stanach kolonii, nakoniec zakaz sprzedaży alkoholu i napojów wyskokowych,— przeciw którym prowadzą w Australii kobiety niezmordowaną walkę.

Praktyczne wypełnienie tego programu nastąpiło w wielu Stanach, i jeśli mówię o tem szerzej obecnie, to dlatego, że uważam za użyteczne podać te dane, dowodzące, że powyższe żądania nie zawsze są tylko żądaniami, ale że mądre ustawodawstwo kolonii angielskich w Australii wprowadziło je w życie z wielkim dla wszystkich pożytkiem. Według praw Stanu Wiktorji, ogłoszonych i uzupełnianych w latach 1873, 1882, 1890, 1896, 1897, 1898 kobiety i dziewczęta nie mogą pracować w fabrykach dłużej, nad 48 godzin tygodniowo, przyczem nie więcej nad 10 godzin i nie dłużej, jak do godziny 9-ej wieczorem. Toż samo niemal prawo istnieje i w innych Stanach. W Queenslandzie prawo stanowczo zabrania pracy nocnej dla kobiet i dzieci.

Dla kobiet pracujących w zakładach handlowych (zwłaszcza magazynach) istnieje tak zwane „The Shops and Shop Assistans Act“ z 1894-go roku, według tego prawa (w stanie Wiktorji np.) kobiety pracować mogą tylko 52 godziny na tydzień, nie dłużej nad 9 godzin dziennie i raz w tygodniu w sobotę np. od 11-ej godziny. Mają przytem prawo siadać i właściciele sklepów są obowiązani dostarczać im krzesła za kontuarzem.

Istotną ziemią obiecaną jest Nowa Zelandya dla służących. Płacą im bardzo dobrze, mają one wieczory i popołudnia w niedziele wolne; zwykle po robocie schodzą do *parloir* i tam rozmawiają z państwem swem i ich gośćmi, czytają dzienniki, grają na fortepianie. Zaniechano tam używać słowa *servante*—służąca. Mówi się obecnie *lady help*—dama pomocnicza. Wyjątkowe dobre położenie kobiety w Australii południowej, a zwłaszcza w Nowej Zelandyi odbiło się jednak na ilości urodzeń.

Ilość urodzeń zmniejsza się ogromnie, zarówno jak ilość małżeństw.

Nowa Zelandya ma dzisiaj 1-ną kobietę dziecięcą na 4 kobiety zamężne, i jak podaje oficjalny „The New Zeland Official Year Book“ z ostatnich lat cyfra urodzeń wynosi 25,12 na 1,000.

Wracając do żądań pani Sokołow to, co się tyczy prawodawstwa dla robotnic lepszego praktycznie programu, jak już zrealizowany w Nowej Zelandyi, znaleźć trudno. Toż samo stosuje się do pominiętej przez panią Sokołow zupełnie tak licznej przecie kategorii pracowniczek z magazynów i handlu w ogóle.

Co do równouprawnienia kobiety w zakresie praw cywilnych, to, rzecz prosta, jest to konieczne. Zarówno prawo władania ziemią, majątkiem, jak prawo równego dziedziczenia

(nierówność istnieje w Rosyi i na Litwie, oraz w południowo-zachodnich guberniach) są rzeczą niezbędną i wymagającą nieodzownego załatwienia.

Tu dodać też należy zniesienie owego skrzepowania kobiety przez więzy małżeńskie, na zasadzie których żonie niewolno brać pasportu, a ewentualnie rozporządzać swą osobą bez przyzwolenia męża.

Nad temi ważnemi kwestyami radbym wywołać i u nas ożywioną dyskusję, z której wyłoniloby się nowe światło dla większego rozjaśnienia sprawy kobiecej.

K. D. Strzelbicki.



Jan Łada.

## PIÓREM I OLÓWKIEM.



(Ciąg dalszy).

Instytut niemiecki istnieje już ćwierć wieku i korzystając z osłabienia francuzkich wpływów na Wschodzie, zajął w tutejszym świecie naukowym niewątpliwie przodujące znaczenie. Przyczyniły się do tego oczywiście prowadzone przez Niemców wykopaliska w Olimpii i znakomita działalność Schliemanna na miejscu dawnego Ilionu. Niemalą też jest zasługa sekretarza instytutu archeologicznego d-ra Dörpfelda, który nadaje żywy impuls archeologicznym badaniom i przyczynia się wielce do rozwoju zakładu. W urządzonych pod jego kierownictwem archeologicznych wycieczkach corocznych po Achai, Peloponezie i osobnym parowcem po Cykladach, biorą udział liczni uczeni, a między nimi i profesorowie austriackich szkół średnich, wysyłani co wiosną do Włoch i Grecji kosztem rządu.

Idąc dalej nieskończenie długą ulicą, mijam ozdobny wspomniany już Arsakion, parę szkół, zakład katolicki Sióstr św. Józefa z Puy we Francji, wychowujący wzorowo katolickie dziewczęta i bardzo wiele Greczynek z najlepszych rodzin, wreszcie skręcam na plac Zgody, naśladowany z *Place de la Concorde* otoczony bardzo eleganckimi sklepami i kawiarniami, z ładnym skwerem w środku. Z placu rozchodzą się we wszystkich kierunkach główne arterye miasta, szerokie, jasne, zabudowane wspaniałymi gmachami, z mnóstwem wspaniałych magazynów obok lichych sklepików, z mnóstwem ludzi, ruchu i gwaru. Tuż zaraz jeden z dworców kolei, wiodącej do Peireos (a jest ich dla dogodności trzy w różnych dzielnicach miasta), dalej w bocznej ulicy ogromna, nieskończona, banalna cerkiew św. Konstantyna, z przeciwnej strony zaś, na końcu przedmiejskiej już ulicy, szeroki, pełen pyłu plac, a na nim Politechnika i Muzeum. Politechnika, parterowy budynek zakręcony w podkowę, dość brzydki i stosunkowo dość mały. Nie wiem doprawdy, gdzie się mieszczą wszystkie sale wykładowe i gabinety. Za to Muzeum przedstawia się imponująco. Jest to gmach obszerny, poprzedzony rodzajem małego parku, którego liści nie widać z pod kurzawy. Zbiory są bardzo

bogate, umieszczono w nich bowiem wszystkie zdobycze z prowadzonych nieustannie wykopalisk. Szczególniej ciekawym był dla mnie zbiór rzeźb z sarkofagów i grobowców greckich i rzymskich. Zawsze ten sam motyw powtarza się w greckich płaskorzeźbach żalobnych: ten, który odchodzi w kraj cieniów, żegna się ostatnim uściskiem z najbliższymi, pozostającymi po za nim, i głowę odwracając, jedną ręką twarz zbolalą zasłania, drugą trzyma w dłoni żegnanych. Rzecz charakterystyczna, jak u starożytnych niewyrobyte były pojęcia o zagrobowej, uzupełniającej sprawiedliwości, o pośmiertnej nagrodzie i karze, a każdą śmierć uważano za najwyższe z nieszczęść, mogących dotknąć człowieka. Żadnej nadziei na spotkanie za grobem, żadnego jaśniejszego promyka w posępnej otchłani grobu. I cóż ztąd, że zewnętrzne emblematy śmierci są piękniejsze i bardziej pod względem form estetycznych szlachetne od tych, jakich używa chrystyanizm w późniejszych wiekach istnienia. Pod artystyczną osłoną w jaki je geniusz greckiej sztuki ubiera, czuć nie tylko pustkę moralną, ale i chłód straszliwy, bezbrzeżnej, bo beznadziejnej rozpacz. A jeśli dzisiejszy estetyzm przeciwstawia z tryumfem „bożką“, promienną wszystkimi blaskami piękną kulturę starożytną chrystyanizmowi, utrzymując, że ten ostatni był cofnięciem się ludzkości od światła w ciemność, od cywilizacji w barbarzyństwo, wystarczy spojrzeć na greckie sarkofagi i porównać ich smętne epitafie z grobowymi napisami w katakumbach, pełnemi takiego spokoju i tak niebiańskiej pogody w obliczu śmierci, aby zrozumieć, jaka nicość moralna, jaka nędza ducha kryje się pod cudnemi pozorami starożytnej kultury i pogańskiego na świat poglądu.

Rzymskie sarkofagi mniej mają smętnego nastroju od greckich grobowców i częściej zamiast scen pożegnania przegląda z nich sama tylko twarz zmarłego lub emblemat jego zgonu. Chłodny umysł Rzymian, przejęty przez podbite i na swych panów zapatrzone ludy, nie lubił spoglądać po za grób, ani dawać folgi łzom i westchnieniom.

Ale w salach rzeźb, choć te ostatnie są nieraz tak piękne, że mogłyby się równać (nie ilością oczywiście z galeriami Watykańskimi lub dawnym Burbońskim Muzeum w Neapolu, niema prawie nikogo, za to tłum ciśnie się do dwóch sal, w których złożone są złote skarby z Myceny. Pokoje te są obecnie objęte w posiadanie przez robotników układających posadzkę. Nieład, brud, hałas straszny. W rażącym przeciwieństwie do reszty sal, cichych, czystych, pociągających urokiem cudnych posągów, tu trzeba przeciskać się między kadzią z wapnem a wiadrem z brudną wodą, ocierać o zasmolonych i ubielonych chłopaków roboczych, wykonywać gimnastyczne skoki po ceglach i deszczułkach, moczyć nogi po kostki w kałużach, nie wiem dlaczego doprawdy porobionych i pozostawionych po całej sali. Nie to. Tłum ciśnie się. Angielki podkasują suknie i waterproofy, Niemcy zaginają spodnie, każdy maca przed sobą laską lub parasolem, wszyscy krzyczą, śmieją się, pomagają sobie, jak w górskiej wycieczce — ale idą wszyscy. Magiczny blask złota

pociąga, *sacra auri-fames*, którą bodaj oczyma chcą zaspokoić.

Idę za nimi, bo już obejrzałem całe muzeum i nie powiem, że zostałem rozczerawiany, bo nic więcej nie oczekiwałem, ale mam raz jeszcze uczucie, tak często doznawane w życiu, uczucie wstydu za ludzkość. Cały ten skarb, nieoceniony dla archeologa, niema wartości i interesu dla przeciętnego widza. Tam obok każdy posąg, każda urna mówi do niego pięknnością swych linii i działa uszlachetniająco na jego wyobraźnię, tu ogromny zbiór świecideł pierwotnej, wcale nie artystycznej roboty, olśniewa tylko olbrzymiem nagromadzeniem złotego kruszcu. A jednak tu właśnie i tylko tu biegnie kosmopolityczny rój turystów, roztwiera szeroko oczy i usta i stoi godzinami przy gablotkach, powtarzając: „Ile złota, ile złota!“

Od placu Zgody wracam w dół miasta inną ulicą, bardzo długą i regularną, jak wszystkie, ale odmienny już mającą charakter. Z obu stron domki małe cisną się przy wielkich kamienicach, a małe sklepiki wystają na ulicę kupami okazowych towarów, około których cisną się gromady kupujących, a więcej jeszcze gapiów i uliczników. Ponieważ zbliżają się święta, mnóstwo specjalnych świątecznych artykułów na wystawach, zwłaszcza wyobrażeń baranka wielkanocnego, jaj i różnych przysmaków wielkanocnych, nieznanych dla cudzoziemca. Nad sklepami i wzdłuż lub w poprzek ulic na prętach i łukach zawieszonych mnóstwo różnobarwnych chorągiewek nadaje ulicy wesoły, choć nader pstrokaty wygląd. Szczególniej barwnie, ludno i hałaśliwie w okolicach cerkwi.

Tych spotykam przechodząc przez starsze dzielnice Aten dużo, nowe za to są ich pozabawione prawie całkiem. I tak wielka budująca się cerkiew św. Konstantyna jest jedyną na połowę miasta — w drugiej połowie skupiają się wszystkie inne. Jest ich wiele, co najmniej ze sześćdziesiąt, a budowa ich ma typ podwójny, zupełnie odrębny jeden i drugi od tego, jaki spotykałem na Korfu. Stare cerkwie, zachowane z przed-tureckich czasów, są prześliczne, istne cacka romańsko-bizantyjskiego stylu.

Typem takich cerkwi jest dawna cerkiew metropolitalna, malutka, tak malutka, że ledwie dwadzieścia lub co najwyżej trzydziści osób może się w niej pomieścić, wsiadła w ziemię, jak zgrzybiała staruszka, a taka urocza i wykwintna, że chciałoby się wsadzić ją pod klosz i postawić na biurku, jak to podobno Napoleon pragnął zrobić z wileńskim kościołkiem św. Anny. Styl bizantyjski najczystszy w całej swej piękności: krzyż grecki z lekką kopułą w przecięciu z absydami i emporami na końcach ramion, z bardzo misterną romańsko-wschodnią ornamentacją, z tryforiami, z równoramieniami rzeźbionymi krzyżami, tworzącymi ładny ornamentacyjny motyw, z resztkami starożytnych korynckich kapiteli i bogato rzeźbionych fryzów, tryglifów, metopów i architratów, wmurowanymi przed dziesiątkiem wieków przy budowie małej świątyni, wzniesionej z gruzów sąsiednich pogańskich gmachów. Wnętrze, jak we wszystkich cerkwiach tutejszych, banalne i ubogie, a jedyną jego ozdobę stanowi grobowiec patryar-

chy Gregoriosa, którego posąg widzieliśmy przed chwilą w przedsionku Uniwersytetu.

Sąsiednia nowa Metropolia odmienną jest zupełnie. W tamtej umiał budowniczy w malutkich rozmiarach stworzyć arcydzieło harmonii i smaku. Tu rozmiary tej głównej świątyni, wzniesionej za czasów króla Ottona, są obszerne, naśladowanie form bizantyjskich widoczne, acz bardzo nieudane, ornamentacja bogata, a zwłaszcza jaskrawa, ale smaku pozabawiona zupełnie. Patrząc na tę wielką budowlę, pomalowaną na żółto i na czerwono, myśli się mimowoli: co za otechłań pomiędzy temi dwoma stojącymi obok siebie budynkami i jak głęboko dziś sztuka upadła, jeśli na tyle tylko zdobyć się potrafi! A jednak nową metropolię wzniesiono za znającego i kochającego sztukę króla Ottona, za którego powstało tyle stylowych i prawdziwie pięknych gmachów, za którego i dzięki któremu powstały nowe, tak olśniewające wykwintem artystycznym Ateny. Ale król Otton, budując całe setki domów prywatnych i publicznych gmachów w czystym greckim stylu, miał przed sobą gotowe modele, doskonale formy dawnego budownictwa, w które trzeba było włożyć nowe pomysły i potrzeby. Tylko, że w stylu greckim można było zbudować parlament i akademię—trudno było zbudować kościół. Mogli na ten niesmaczny koncept wpaść Anglicy na Korfu, nie mógł tego zrobić brat Ludwika I-go. Epoka wielkich rekonstrukcyj pomników średniowiecznych nie nadeszła jeszcze była wówczas. Naprawdę dla sztuki bizantyjskiej nie nadeszła ona w ogóle dotychczas. Więc zaczęto próbować zastosowania niektórych motywów pierwotnej sztuki kościelnej na Wschodzie do nowoczesnych, świeckich form budownictwa, a pierwiastek klasyczny, jaki tu wprowadzono, przyczynił się do jeszcze większego pogmatwania tego nowoczesnego stylu, w jakim budowane są wszystkie świątynie greckie od lat sześćdziesięciu. Są też one wszystkie w takim stosunku do bizantyjskiej architektury, jak słynny z brzydoty kościół katolicki w Odessie — do sztuki romańskiej i renesansowej. Ze wszystkich tych cerkwi nowszych — a na pochwałę Greków przyznać trzeba, że ich jest dosyć, co prawda zawsze na miejscu dawnych cerkiewek w starych dzielnicach — jedna tylko cerkiew Panagija Chrysospeliotissa i druga, starożytna, ale bardzo ładnie i stylowo odrestaurowana cerkiew św. Jerzego w pobliżu ulicy Hermesa, stanowią chwalebny, miły dla oka wyjątek.

Za to ileż się spotyka w zakątkach i zaułkach Aten starych cerkiewek, niewiele większych od Panagija Gorgópiko, jak lud nazywa dawną metropolię i niewiele mniej pięknych od niej. Taka Hagia Kapnikarea, takie cerkwie św. Teodora i św. Sotera, a zwłaszcza taka świątynia św. Nikodema, oddana obecnie Rossyanom i służąca za cerkiew poselstwa rosyjskiego, bazylika z XI-go wieku z prześlicznym romańskim kampanilem i cudnymi częściami staremi, częściami (nawet przeważnie) nowoczesnymi, ale doskonale do tamtych zastosowaniami mozaikami,—to istne pięścielka architektury, na które nie mogłem dość się napatrzeć, tak są piękne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Kobieca wiedza okkultystyczna była tylko praktyczną; teoretycznie uprawiali ją prawie wyłącznie mężczyźni. Teorię tę tak zwaną magię, rozróżniano jako czarną i białą. Biała wgłębiała się w tajniki natury fizycznej, czarna sięgała po za naturę, w te sfery, które okkultyści nazywają dziś czwartym wymiarem przestrzeni. Studya owe traktowały całkiem serio bardzo poważne umysły, a ludzie wyższej nauki oddawali się im nieraz z zapalem. Zwolennicy białej magii byli uważani przez ogół za nieszkodliwych, a nawet czasem dobroczynnych; do nich zwykle liczone astrologów i alchemików; zwolenników zaś czarnej magii mianowano czarnoksiężnikami, i ci czasem bywali sędownie prześladowani a nawet kaźnieni, chociaż na ogół biorąc zdarzało się to z mężczyznami nie często. Bywali „czarownicy“ powszechnie za takich uznani, których jednakże pozostawiano w spokoju. Niemiecki doktor Faust, podaniem ludu tak ustrojony, że go całego do niedawna za wymysł uważano, polski pan Twardowski, zdumiewający nie tylko baby krakowskie, ale samychże scholastyków akademii, wszechświatowy Paracelsus, jeden z najgenialniejszych reformatörów nauki, okkultysta szczerze przekonany, sami uważali swą wiedzę za nadprzyrodzoną i za magików byli poczytani, a pomimo to włos im z głowy nie spadał — przynajmniej drogą urzędową. A tymczasem baby wiedźmy rzucano w płomień wiązkami.

W Polsce, pomimo, że się roilo od kobiet, uważanych za czarownice, procedura karna w tym względzie była znacznie łagodniejszą, niż w krajach postronnych. Jako sposób rozpoznawania winnych zwyczajnie, nie tortury były używane, a tylko próba wody czyli pławienie wiedźm. Następnie baby uznane za czarownice skazywano na osmaganie lub wyświecenie, to jest publiczne wygonienie ze wsi lub miasta kobiety rozdzianej i rozplecionej przy świetle smolnych pochodni, wśród szyderstw i obelg tłumy. Ale stosy płonęły znacznie rzadziej, niżeli w bardziej cywilizowanej Europie zachodniej, gdzie palono naraz po kilkadziesiąt kobiet, wśród których często staruchy i podlotki. U nas nie było nawet krajowego prawa przeciwko czarownicom tak, iż w razie procesu o czary zastosowywano prawo magdeburskie, zwykle ze złagodzeniem jego surowości. Co się zaś mężczyźni, czarna nie zdarzyło się wcale, aby którego kiedyś za stos skazano, pomimo, że niejedyni znani byli ze skutecznych czarów, zwłaszcza w zastosowaniu do sztuki łowieckiej. I tak w tym wypadku, jak w wielu innych, polski plemięny temperament, dobroduszenie łagodny, pomimo zadzierzwestej czupurności ustrzegł karty naszej przeszłości od krwawych plam okrucieństwa, a w biegu humanitarnego rozwoju przetrwała pocziwość zastępowała dość opornie przyswajaną kulturę.

Epidemia czarnoksiężstwa najbardziej grasowała wśród najgorzej uposażonych społecznie; najpodatniejszymi byli wydziedziczeni, a wśród nich niewolnice niewolników—kobiety z ludu. Podańszych procesom o czary najobficiej dostarczała sfera chłopska i drobnomieszczańska; a chociaż opinia powszechna nieraz oskarżała kobiety z wyższej klasy, lecz wypadki ciągnięcia ich przed sądy, a zwłaszcza uznawania za winne i skazywania na stracenie należały do wyjątków. Zapewne, że stronność grała tu nieraz swoją rolę; ale główną przyczyną faktu być musiało, że rzeczywiście najpospolitszymi adeptkami czartochwalstwa lub subiektywnymi demonomanii były ubogie prostaczki, te najbardziej zgnębione i wzgardzone, postawione na najniższym szczeblu owej klasyfikacji istot ludzkich, jaką wprowadziło Średniowiecze. Nawet indywidualnie wybitnych wśród masy czarownic widocznie nie bywało, a działalność ich naukowego charakteru nie przybierała, skoro żeńskich Faustów i Twardowskich żadna tradycja nie wspomina.

W braku więc historycznych znakomitości na tem polu, przedstawimy jako jeden z bardziej typowych okazów, słynną w Paryżu za panowania Ludwika XVI-go Katarzynę Monvoisin, zwykle la Voisin zwaną. Protokoły jej procesu wykazują, co następuje:

Była ona ona akuszerką, fabrykantką aniołków, których krwi używała do czarów. Znała skuteczne specyfiki na szczęście w grze, na rozkochanie, na odmłodzenie i t. p. i sekrety swoje sprzedawała drogo, lubiła żyć i używać. Znaczne panie z wyższych sfer miejskich i nawet królewskiego dworu wykradały się do niej nocą w przebraniu; czarownica za hojną zapłatę udzielała rady, wróżby, talizmanów, uczyła zaklęć i uroków, a czasem także dostarczała proszku lub płynu, mającego własność usunięcia niedyskretnego małżonka lub długowiecznego testatora. Niektóre z tych pań—światne i oświecone,—życzyły sobie oglądać dyabła, la Voisin zwykle spełniała to żądanie, ale niewiadomo, czy przez sztukę wzbudzania halucynacji. W krótkim czasie rozmnożyły się wypadki otrucia, tak, iż panika zapanowała w wielkim świecie. Ale zręczna wiedźma umiała zawsze zatrzeć ślady i przemysł jej został odkrytym wskutek zeznań margrabiny de Brinvilliers.

Ta ostatnia była to drobna, szczupła modrooka szatynka, pełna wdzięku i dowcipu, która dla interesów pieniężnych otruła swego ojca i dwóch braci. Próbowwała także struci męża, pomimo, że nie przeszkadzał jej jawnym skandalom, jako też inne jeszcze osoby; miała widocznie upodobanie w trucicielstwie, o którym chętnie mówiła i pisała, co zdaje się wykazywać częściową przynajmniej monomanię. Była dziwną mieszaniną uczucia i rozpusty, zbrodni i nabożeństwa; skazana na śmierć, przyjęła ją z rezygnacją w duchu pokuty. Spalono ją na stosie, ale zarzutu czarnoksiężstwa w jej procesie nie było.

Ta straszliwa, czy też szalona margrabina utrzymywała także tajemne stosunki z la Voisin i nabywała u niej specyfiki ułatwiające przejście do wieczności; na zasadzie jej zeznań, wkrótce po jej spaleniu zabrano się do

słynnej czarownicy. Proces la Voisin wykrył mnóstwo ohydnych zbrodni, pomimo, że prowadzono go bardzo dyplomatycznie, aby nie skompromitować osób wysoko postawionych; Skazana na tortury i stos, przyjęła straszny wyrok z nadzwyczajną brawurą, przed samą kaźnią spiewała cyniczne kuplety, do wymaganego przez procedurę odrzeczenia się spraw szatańskich i aktu skruchy, skłonić się za nic nie dała, nakoniec już u stosu odpychała krzyż i spowiednika, a na stosie wciąż kłęła; jeszcze z płomieni słyszano straszliwe zlorzeżenia...

Wiek XVIII-ty dopiero oddzielił w sprawach o czarnoksiężstwo stronę duchową od konkretnych rezultatów; odtąd ścigano sądownie tylko te ostatnie, jeżeli były szkodliwymi społeczeństwu, resztę zaś pozostawiano sądowi sumienia.

Zwykłą rzeczą koleją z ustaniem prześladowania ustała też frenezja zakazanych czynów, ale tradycje czarnoksiężstwa nie wygasły bez śladu. Dotąd jeszcze po wiejskich zakątkach nie rzadkie są wiedźmy-znachorki, wyzyskujące zabobonność wieśniaków. Ale wśród mnóstwa dziwacznych guseł zdarzają się także dziwne sekrety lecznicze — i dziwniejsze jeszcze fenomeny w rodzaju sugestyjnych i telepatycznych.

## HUMANISTKA.

W tym samym czasie, kiedy wśród najwyższej i najniższej warstwy społecznej — to jest w łonie panującego Kościoła, w łonie poddańczego ludu — kobieta występowała ze swej nicości w postaci zakonnicy lub czarownicy, w innych warstwach stanowisko jej zmieniało się powoli ale stanowczo, — z ciemnej niewiasty poczęła przeobrażać się w oświeconego człowieka.

Różdżką czarnoksiężką, która wywołała tę bajeczną metamorfozę, był prześwietny Renesans.

Ten trzeci i ostatni okres Średniowiecza, który ostatnią fazą swego rozwoju wkracza już w epokę najnowszą, począł wschodzić pierwszym braskiem na południu Europy wnet po ukończeniu Wojen Krzyżowych. Gdy w pierwszej połowie XIV w. odgrzebane zostały z prochu zapomnienia klasyczne arcydzieła grecko-rzymskiej kultury, ujrzano ze zdumieniem, że są inne światy rozumnej myśli, inne kąty widzenia estetycznego, filozoficznego, politycznego. I wnet te zmartwychpowstałe pojęcia poczęły się ścierać z dotkniętymi starczym zanikiem pojęciami średniowiecznymi, a ze starcia wytworzył się ruch ideowy, a z jego prądu wypłynęły przekonania, kierunki i porządki nowożytności.

Ruch ten objawia się najpierw we Włoszech, w postaci Odrodzenia przeważnie artystycznego i literackiego; następnie rozszerza się na coraz dalsze kręgi umysłowości z dziedziny sztuki i poezji wkracza w dziedzinę filozoficzno-naukową, sprowadza ją z abstrakcji scholastycznych w realność życiową, nakoniec zastosowuje rozbudzony krytycyzm umysłowy do zanalizowania dotychczasowych stosunków społecznych, staje się wiedzą żywą, na wskroś ludzką — Humanizmem — i sze-

rokiem rozlewem ogarnia Europę środkową, zachodnią, nakoniec północną (XIV i XV w.)

Przedziwna analogia rozwoju całości z rozwojem jej części — podobieństwo życia społeczeństwa do życia człowieka występuje wybitnie w przemianie faz duchowo społecznych tego zbiorowego Europejczyka, którego historia nazywa cywilizowanym światem. Z dziecinstwa pierwszej doby Średniowiecza, z adolescencji jego doby drugiej, społeczeństwo europejskie wchodzi nakoniec w dobę trzecią młodzieńczej dojrzałości, konstatuje, że skończyło edukację, zaczyna czuć, myśleć, urządzić się po swojemu. Zużyły się dziecięce powijaki, dobiegł kresu wiek szkolny, wiek zaniku jednostki pod strychulcem wspólności, wystąpiła indywidualność człowieka i upomniała się o prawa pełnoletności u swojej dotychczasowej mentorki — organizacji średniowiecznej. To, co w swoim czasie było potrzebne i pożyteczne, stało się bezcelowo kłępującym przeżytkiem. Skorupka jajka nagiemu ptaszęciu konieczna, ale ptak opierzony pozostać w niej nie może, i jeżeli sama nie pęka, rozbić ją musi. Takim ptakiem była osobowość ludzka, która przedtem całkowicie nikła w ochraniających ją i zarazem unicestwiających zgrupowaniach społecznych, z biegiem czasu zwyrodniałych w ciasną kastowość. Absolutyzm ustrojów feudalnych, municypalnych, korporacyjnych, drobiazgowo kuratela nad niedojrzałą społecznie jednostką, wtlaczająca ją we wspólną modłę, zamykająca w jednym światokręgu, musiały abdykować ze swej pedagogicznej władzy, wyzwolić dorosłego ucznia i puścić go na przestwór o własnej sile. I zerwała się do lotu myśl indywidualna, poczęła szukać dróg nowych kreślić nowe plany nakoniec obalać zrujnowane gmachy a stawiać nowe.

W gmachach nowego ustroju wyzwolone jednostki znowu się zrzeszyły, ale inaczej, na zasadzie zespołu, nie wchłonięcia, — bo na miejscu przywilejów kastowych stanęły prawa człowieka.

Rozumie się, że tak gruntowna przemiana tyłu wiekowych porządków nie poszła ani prędko, ani łatwo, że były liczne, ciężkie długie niesnaski duchów i zmagania się sił. Ale wewnętrzny ruch ideowy zyskał potężnego sojusznika w ruchu zewnętrznym, taktycznym. Wypadki dziejowe przychodziły w samą porę — konieczność historyczna zawsze w samą porę przychodzi — i oczyszczały miejsce na tę budowę, której plany kreśliły się właśnie w myśli społecznej. Jednym z najdonioślejszych takich faktów pomocniczych było rozprzęgnięcie się rycerskiej feudalności, tego cechu cechów, tego wzorca skupień ludzkich, podług którego zaciskały się wszystkie inne społeczne kleszcze Średniowiecza. I w samą także porę zdarzył się tak zwany „przypadek“, że mnich-alechemik, włożywszy w retortę trochę saletry, siarki i węgla, postawił to na ogniu i zamieształ... Zadzwończyły w swej ołowianej oprawie kolorowe szybki ostrołukowego okna, huk i dym wybuchu przeraziły alchemika, który mniemać musiał, że szatan przed nim staje — i rozpoczęła się nowa epoka dziejowa, wynalazek prochu wysadził z siodła szewaleryę, a z nią razem średniowieczny ustrój społeczny. Przyszły też inne wypad-

ki, odkrycia, wpływy, nie tak już widocznie opatrnościowe, ale które tak samo zdawały się dążyć celowo do tego, aby dopomóc nowej myśli, rozgryźć stare wędzidło. Z taką pomocą wyzwolenie poczęło walczyć na całej linii — i wywalczyło nakoniec samodzielność, samoistność i samopoczucie indywidualności człowieka.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Szkoła języków obcych.

(Gildya międzynarodowa).



Kształcenie się w językach jest rozpowszechnionem i koniecznym nawet w czasach, gdy ułatwienia kolejowe zbliżają narody i wytwarzają chęć i potrzebę poznawania nie tylko obcych krajobrazów, lecz i obcych ludzi i obyczajów. Wreszcie znajomość języków potrzebna we wszystkich niemal zawodach.

My, Polacy, odczuwamy ją tem bardziej, że niestety, naszym językiem mówimy tylko my sami.

Ale ta potrzeba staje się widocznie ogólną, skoro naród, którego językiem mówi cały świat cywilizowany — Francuzi, nie znający do niedawna żadnych innych oprócz swego, dziś starają się uczyć przedewszystkiem po angielsku, następnie po włosku i niemiecku, wreszcie po rosyjsku. Powstała też w Paryżu instytucja, która za pomocą wykładów, konferencji, zebrań, czytelni, ułatwia naukę języków. Jest to tak zwana gildya międzynarodowa.

Staroniemieckie słowo „gildya,” oznacza stowarzyszenie, korporację. W wiekach średnich tę nazwę nosiły we Francji stowarzyszenia miejskie, w Anglii (*guild*) korporacje i cechy rzemieślnicze.

To słowo w następstwie nabrało ogólniejszego znaczenia i dziś określa każde zrzeszenie, każde towarzystwo, którego członkowie łączą się celem dopomagania i podtrzymywania się wzajem.

Międzynarodowa gildya znajduje się pod protektoratem konsula angielskiego, jej siedziba jest w Paryżu przy ulicy de la Sorbonne n-r 6, założycielką i prezesową jest miss Williams, honorowa docentka Uniwersytetu i profsorka Wyższej Szkoły Normalnej w Fontenay aux Roses.

Gildya założona w r. 1891-ym przy dziele członkach, w roku 1897-ym liczyła ich 200-tu, a obecnie ma 400-tu. Początkowo służyła głównie dla wymiany myśli i uprawiania się w obcy język Francuzkom i Angielkom, następnie otworzono kursy literatury angielskiej i francuskiej, powiększono czytelnię, uzupełniając ją dziełami nie tylko literackimi, lecz i historycznymi. Wreszcie zaczęto przypuszczać na wykłady inne narodowości, a więc Amerykanki, Niemki, przybyło kilka Polek, kilka Rosyjanek, a nawet jedna Japonka, wysłana do Paryża przez rząd swego kraju dla studyowania francuskiej metody edukacyjnej. Napływ różnych nacji był tak

duży, iż stowarzyszenie noszące nazwę „Franco-English Guild,” w r. 1902-ym przemianowało się na „Gildyę międzynarodową” i pod tem mianem istnieje i rozwija się pomyślnie. Jego celem jest: wytworzyć miejsce zebrań dla kobiet intelligentnych, dać Francuzkom sposobność poznania obcych języków, a cudzoziemki wykształcić gruntownie we francuskim, ułatwić jednym i drugim wzajemne poznawanie się, a to nie tylko w celach językowych, lecz obyczajowych i społecznych.

Takie są zadania. Przyjrzyjmy się, w jaki sposób instytucja odpowiada tym celom i jak jest urządzona.

Zarząd składa się: z prezesowej, z intendentki, załatwiającej wszystkie sprawy gospodarcze i finansowe, z sekretarki, trudniącej się prowadzeniem ksiąg, korespondencji i udzielaniem objaśnień ustnych, wreszcie z dyrektorki internatu, założonego przy Gildyi. Liczy on siedm pokojów, w cenie od 150 do 225 franków miesięcznie, stosownie do rozmiarów i wygód, włącznie z utrzymaniem i usługą. Pensyonarki—cudzoziemki lub Francuzki, przybyłe z prowincyi, oddane przez rodziców pod bezpośrednią opiekę Gildyi—mają osobną salę do nauki.

Po za internatem do użytku innych członkiń Stowarzyszenia oddaną jest sala jadalna, gdzie mogą dostać drugie śniadanie lub popołudniową herbatę. Sala otwarta jest codziennie od godziny 11-ej do 1-ej z rana i od 3-ej do 5-ej po południu, z wyjątkiem niedziel. Po za tem stowarzyszone mają do swego rozporządzenia: sale naukowe, salę konferencyi, bibliotekę i czytelnię, oraz kilka małych saloników do lekcji prywatnych.

Wykłady Gildyi prowadzone są w taki sposób, aby: 1<sup>o</sup> przygotować Francuzki do wykładania języka angielskiego w szkołach normalnych początkowych, średnich, oraz liceach; 2<sup>o</sup> aby przygotować cudzoziemki na patent Gildyi i Sorbony. Patent Gildyi daje prawo nauczania języka francuskiego w kolegiach angielskich, uznany jest za ważny przez Uniwersytet w Chicago, tak, iż studentki amerykańskie po powrocie do kraju nie potrzebują zdawać ponownych egzaminów z języka francuskiego.

Wykłady są dwójakie, odpowiadające dwom odrębnym grupom uczennic, a więc: 1) kursy dla Francuzek w języku angielskim, przygotowujące je do egzaminów w Sorbonie; można słuchać wykładów osobiście lub obznajmiać się z nimi za pomocą korespondencji. Oprócz tego są kursy dla panienek, należących do eleganckiego świata paryzkiego, gdzie uczą się one języków angielskiego i niemieckiego dla konwersacyi i zapoznania się z literaturą.

2) Kursy dla cudzożemek obejmują: sekcję angielską i amerykańską, sekcję niemiecką, sekcję polską i sekcję rosyjską. Wykładana jest na nich gramatyka i literatura francuska, fonetyka, historia Francyi. Paweł Dejardins wygłasza konferencje o Francyi współczesnej; profesorowie retoryki przy liceum Ludwika Wielkiego, pp. Gautier i Pellissier zapoznają uczennice z literaturą współczesną. Po za tem od r. 1902-go, stosując się do prośby komitetu opieki nad studentkami zagranicznymi, Gildya urządziła dla cudzożemek kursy

ćwiczenia praktyczne, odbywające się po parę razy na tydzień i przygotowujące do *licence ès langues*. Obecnie słucha tych wykładów 17 panien, między nimi kilka studentek uniwersytetów w Oxford i Cambridge. Wykłady są prowadzone dla kobiet wyłącznie i uzupełniane są licznymi konferencjami w języku francuskim i angielskim, wygłaszanymi na różne tematy, przeważnie o sprawach społecznych. Aby dać pojęcie zacytuję kilka na chybił trafił. A więc: „O wykształceniu kobiet w Japonii” mówił pewien misjonarz amerykański, przybyły z tego kraju; „O współczesnej powieści we Francyi i Anglii”—prof. Phelps z uniwersytetu w Yale (Stany Zjednoczone północnej Ameryki), panna Menant „O życiu krajowców w Indyach i o pierwszej Hindusce, mrs Sathianadau, która pisała po angielsku; prof. Weeks z Uniwersytetu w Missuri „O wyższych studyach kobiet w Stanach Zjednoczonych i o wysokim stopniu wykształcenia u rzemieślników i rzemieślniczek w Ameryce.

W ostatni czwartek każdego miesiąca odbywają się zgromadzenia, na których prezesowa przedstawia zebrany projekt reform i obznajmia je ze stanem finansowym instytucyi, poczem następują konferencje, urządzone przez docenta profesora oxfordzkiego p. Edwards; toczą się one w języku angielskim. Kwestye społeczne, literackie, pedagogiczne lub inne, wyznaczane z góry (aby uczestniczki rozpraw mogły się do nich przygotować), poddawane są dyskusji. Dwie oponentki występują naprzeciw siebie i bronią swych opinii, zbijając przeciwnie, wreszcie profesor streszcza dyskusję i wyciąga z niej wnioski. Podobne konferencje mają się też odbywać w języku niemieckim.

Urządzone są nadto pod kierunkiem profesorów, rozmowy na temat zadany, a więc o podróżach, spacerach, o historii, o zabytkach sztuki i t. p. Professor zwraca się do każdej z panien po kolei, aby je zmusić do brania udziału w rozmowie, toczony bardzo szybko, aby uczennice łowiły w lot dźwięki obcej mowy.

Po za tem Gildya wpadła na szczęśliwy pomysł: wymiany lekcji, obierając ku temu uczennice jednego poziomu umysłowego i mniej więcej jednej sfery społecznej. Za godzinę języka francuskiego otrzymuje się godzinę angielskiego, niemieckiego, polskiego, rosyjskiego i odwrotnie. Lekcje udzielane są bądź w zakładzie, bądź w domu panien, mieszkających stale w Paryżu. Z takich stosunków wytwarzają się nieraz przyjaźnie trwałe.

Od czasu do czasu Gildya urządza koncerty, przedstawienia amatorskie. Na ostatniem, w Marcu r. z. uczennice francuskie odegrały „Kupca weneckiego” Szekspira, zaś cudzoziemki „les Femmes Savantes” Moliere. Na poprzednim festynie Polki tańczyły mazurę, poloneza i krakowiaka, Niemki spiewały pieśni narodowe. Nazajutrz odbyło się przyjęcie dla panien u ambasadora angielskiego w Paryżu, sir Edmunda Monson.

Biblioteka Gildyi zawiera 1,800 tomów z górą: dzieła angielskich autorów współczesnych i klasycznych, dzieła odnośne do historii Francyi, Anglii, traktaty pedagogiczne, najlepsze dykeyonarze francuskie, angielskie, nie-



miekie, Larousse'a, Webstera, Zittre'go i in. Czytelnia otwarta codzień, z wyjątkiem niedziel, od 2-giej do 5-ej. Można wypożyczać książki nie dłużej, jak na 2 tygodnie, za przetrzymanie płaci się małą karę na konserwację biblioteki i czytelnia. Biuro informacyjne otwarte jest codzień od 2-giej do 5 ej. Udziela wskazówek co do szkół w Anglii, gdzie młode Francuzki mogą być przyjęte na naukę bądź wzamian za lekcyę francuzkiego, bądź za opłatą. Pośredniczy także w wynajdywaniu miejsca nauczycielkom Francuzkom i cudzoziemkom, które ukończyły kursa Gildyi. Usługi te oddawane są bezpłatnie. Dla utrzymania łączności ze stowarzyszonymi we wszystkich krajach, Gildya wydaje co miesiąc biuletyny ze sprawozdaniami z konferencyi, rozmów, egzaminów, zebrań i t. p.

Parę słów jeszcze o opłatach. Wpisowe kosztuje: 10, 20 lub 30 fr. Za 10 fr. ma się prawo korzystać z uczelni, z jadalni, ze wszystkich informacyi biura, wolno też brać udział w miesięcznych konferencyach.

Za 20 franków ma się prawo brać książki do domu. Za 30 fr. korzysta się z tygodniowych posiedzeń i rozmów. Kurs nauk wynosi rocznie 225 fr. dla Francuzek, 300 fr. dla cudzoziemek. Gildya rozporządza trzema stypendyami po 300 fr. dla najlepszych uczennic. Oprócz prezesowej, ofiarodawcy jednego ze stypendyów prof. Sorbony, p. Beliamie i panien interesowanych, nikt nie wie, które są stypendystkami, a to dla oszczędzenia ich drażliwości i miłości własnej.

Rozpisałam się tak długo i tak szczegółowo o tej pożytecznej instytucyi, aby poinformować o jej istnieniu osoby, pragnące kształcić się gruntownie i fachowo w językach obcych. Znajomość ich bardzo potrzebna w zawodach pedagogicznych, handlowych i przemysłowych, do których kobiety garną się coraz bardziej. A u nas w kraju mało jest sposobności wyuczenia się języków w szerszym zakresie. Uczymy się mówić, a nieraz tylko *paplać*, od cudzoziemek, które nie zawsze znają ojezystą literaturę, ba — nawet pisownię. Chodzi nam częściej o salonowe popisy, niż o prawdziwe poznanie języków, którymi mówimy biegle, nie znając ich jednak w szerszym znaczeniu. Każda nauka gruntowna rozszerza horyzonty myśli i tem samem przynosi pożytek osobie, która ją zdobyła. Pożytek jest podwójny, jeśli prawdziwa znajomość obcych języków ułatwia znalezienie pracy i podnosi jej wartość.

E. Żmiewska.



CARMEN SILVA.

## RADOŚĆ.



Czy wiesz, duszo, co to jest radość? Czyś czuła kiedy, jak w tobie wszystko drży i spiewa z zachwytu, podziwu, wdzięczności, z niewysłowionego szczęścia?

A czy miałaś kiedy sposobność komu ra-

dość sprawić? Wiesz-li jakie to jest szczęście? Jedyne może prawdziwe, niczem nie zamącone szczęście, jakie nam jest dane na ziemi, za które z wdzięcznością bez miary dziękować powinniśmy Bogu.

Nie wiemy nawet sami, jak wielki to dar, bo trudno nam ocenić stopień radości przez innych odczuwany. Zazwyczaj więcej się sprawa radości, niż się przypuszczało, jak i bólu więcej, niż się zamierzało. Tak trudno zbadać tę tajemniczą, zamkniętą księgę drugiej duszy...

Najpewniej otworzy się nam ona pod wpływem radości. Nie trzeba na to wielkich podejmować trudów, ani pieniędzy wydawać na kosztowne upominki.

Kosztowny upominek może nie odpowiadać pragnieniom przyjaciela, a nawet może przykrem mu być upokorzeniem, gdy przeciwnie byle drobnostka, z miłością obmyślana, serce jego radością napełni.

Radość sprawiać jest to umiejętność, którą tylko w głębi bardzo delikatnego serca można wypielegnować. Potrzeba na to przenieść się w duszę bliźniego, umieć z nim wspólnie się cieszyć, jakby to, co jemu dajemy i naszym było udziałem. Czasem tę wielką radość sprawi jedno w porę wyrzeczone słowo, jeden uśmiech, spojrzenie, jeden uścisk ręki, co z głębi serca płynie, więc drugiemu sercu jest pokrzepieniem. Trzeba się instynktowi dać powodować, bo instynkt tkliwego serca wskaże na pewno, gdzie rana w duszy bliźniego, którą opatrzeć mamy, gdzie iskra wesoła, co ożywienia czeka. Radość jest jak promień słońca, co choć na krótką chwilę rozproszy ciemności ubogiej izdebki, a kto ten promień wywołał, sam nim swą duszę uweseli. Bo radość sprawiać, to szczęście tak czyste tak od wszelkich niskich uczuć wolne, że uszlachetnia tego, co je daje i we własnych podnosi go oczach.

O duszo! radość nieść między ludzi, to powinno być celem twoim!..

Nie pomijaj kwiatka, który zanieść możesz przyjacielowi, nie zaniedbaj wymówić słowa, co może mu być pociechą, nie cofaj ręki, której uścisk może być pokrzepieniem. Niechaj z rana pierwszą twoją będzie myślą kogo z domowników ucieszyć możesz. Tyś między nich nie przyszła napróżno; tyś tam posłana, aby to czynić, co bez ciebie próżnoby na wykonanie czekało. Obejrzyj się tylko dokoła, a zobaczysz, kto ciebie potrzebuje, komu masz co dobrego wyświadczyć, choćby tylko uprzejme „dzień dobry“, dzięki któremu zapomni o przykrej nieprzespanej nocy, choćby tylko jedno słowo, aby usłyszał dźwięk twego głosu, który mu jest drogim. Czasem chory tak bardzo pragnie usłyszeć ulubiony głos; sam dźwięk jego ulgę mu przynosi, choćby słów nie miał siły zrozumieć.

Miej w sobie tyle pogody, by twa obecność była jako promień słońca, byś samem zjawieniem się swoim radość budziła. Na to trzeba przedewszystkiem zupełnego zapomnienia o sobie, zupełnego zaparcia się siebie. Zamiast nosić się z myślą, że ci kto jest niezyczliwy, bądź ty wszystkim życzliwą, a zwyciężysz nieprzyjaźń ludzką, jak słońce zwycięża mróz, i szron, i mgły, i ciemne chmury. Twoja wesołość rozjaśni ponure czoła, spro-

wadzi przyjazne słowa na usta dotychczas zamknięte w niezadowoleniu. Są ludzie, co wszędzie ze sobą niosą wesele. Są to z pewnością natury altruistyczne: samolubstwo niema do nich dostępu, bo w ich duszy niema dla niego miejsca. Są tak zajęci myślą o drugich, że nie staje im czasu o własnych myśleć biedach. Są też ludzie, którzy w każdej rzeczy, nawet niezbyt miłej, umieją wynaleźć dodatnią stronę, każdą, choćby najprostszą, wesołością swoją przyozdobić. Bogate to dusze! Jakieś dobre wróżki włożyły im do kołyski cenny dar, fantazyę. Fantazyja wszystko rozjaśnia dokoła: to niewyczerpane źródło wesoła, radości.

Radość, to gość najmilszy. Nie zapomnijmy zaprosić jej na towarzyszkę małżeństwa, na towarzyszkę każdego zebrania się rodziny u wspólnego stołu. Radość, to słońce rozpraszające najuporeczywsze ciemności.

Spiew budzi radość, rozprasza złe myśli, — dla tego dobrze jest spiewać przy pracy. Spiew dla chorych jest jak lekarstwo. Sprobuj zcicha zaspiewać choremu jaką wdzięczną piosenkę, a wnet twarz jego rozjaśni się uśmiechem.

Uśmiech, to dar z nieba, który Bóg udzielił ziemskim swym dzieciom, aby do aniołów stały się podobni. Przyjazny uśmiech czyni każdą twarz piękną; on jest jak pierwsze wiosny pozdrowienie, jak pierwszy w słońcu rozwinięty pączek; on nam mówi, że nie wygasła jeszcze miłość i nadzieja. Nawet uśmiech chorego, uśmiech niewidomego, choć serce rozdziera więcej niż gorzka skarga, miłym jest niewypowiedzianie i niezatarte zostawia wspomnienie. Uśmiech to brat radości, to czasem radość sama. Ludy, co sobie dały władców, pragną ich zawsze widzieć z uśmiechem na ustach, bo im się zdaje, że tych władców jedynym zadaniem radość im sprawiać, lekkim i jasnym czynić, co wprzódy gnębiło. Uśmiech, to jakby pełna miłości obietnica. Uśmiech znaczy, że chcemy, że możemy pocieszyć.

Gdybyśmy wiedzieli, ile zdziałać możemy uśmiechem, staralibyśmy się wszelkimi siłami zawsze pokazywać bliźniemu twarz pogodną. Czy to tak trudną jest rzeczą? Widziano ludzi z uśmiechem wstępujących na stos i promieniejących weselem wśród najstraszniejszych męczarni. Widziano ludzi umierających z taką pogodą na twarzy, że śmierć ich była jakoby apoteozą. Wszyscy możemy zdobyć to niczem niewzruszone wesele ducha, jeżeli wciąż będziemy mieli na myśli, że możemy, że powinniśmy radość rozsiewać dokoła.

Na cześć radości stworzył Beethoven swój hymn nieśmiertelny; opiewał ją Schiller w natchnionej pieśni. Przeszli oni przez ciężką próbę cierpienia i wiedzieli, że jeden promień radości może ból ukoić, duszę wznieść do nieba.

O duszo! trochę tylko siły, trochę przezyciężenia samej siebie, a bogatą otrzymasz zapłatę. Zdziwisz się sama, jak smutek się rozproszy, a gniew i nieprzyjaźń zamilknie tam, gdzie ty radość poniesiesz swoją.

Radość sprawiać, to tak wzniosłe szczęście, że dziwić się trzeba, jak ludzie mogą nie pragnąć go uzyskać, choćby kosztem największych

poświęceń, ofiarą wszystkiego, co posiadają, Błysk szczęścia w oku bliźniego, czyż nie więcej wart, niż wszystko, co posiadamy? Nie ma rzeczy zbyt kosztownej, aby nie warto było za jej cenę zyskać takie jedno radosne spojrzenie. A choćby to było jedyne nasze mienie. Tylko raz jeden w życiu takie mogą zyskać spojrzenie, mielibyśmy się wyrzec tej jednej chwili prawdziwego szczęścia?

O! nie zaniedbujmy żadnej sposobności, aby radość sprawić! Nie zostawiajmy głodnego dziecka zapatrzonemu w wystawę piekarza, ani ubogiego przed sklepem z zabawkami. Niechaj te biedne serduszka choć raz zabiją z radości. Jeszcze po wielu latach cieszyć nas będzie pamięć owego spojrzenia wymownych dziecięcych oczu. I większą będzie nagroda, aniżeli nasz skromny dar.

Radość sprawiać, niebiańskie to szczęście a każdego może być udziałem, każdego, nawet najbiedniejszego, który dzieli się swym kawałkiem chleba, nawet nędzarza, co głodniejszemu od siebie da jagodę po drodze zerwaną. Zawsze jeszcze można z czegoś uczynić ofiarę. Aby radość sprawić, niema zbyt małej rączki, zbyt ubogiej sakiewki, zbyt smutnego serca.

Duszo! myśl wciąż o tem, by radość siać dokoła, a zadziwisz się sama nieskończonemu bogactwu swojemu.

Wyrzeknij się sama siebie, swego spokoju, swej swobody, najdroższych swych myśli, najświętszej pracy. Bo szczęście, jakie osiągniesz, radość sprawiając, każdego jest godne poświęcenia.

## BEZSENNOŚĆ.

Nie jeden skarży się na bezsenność. Ale bezsenność jest najczęściej złym rozkładem snu. Człowiek potrzebuje na dobę sześć do siedmiu godzin snu, ale o której porze i czy jednym ciągiem, czy też w pewnych odstępach czasu, to rzecz obojętna. Można wstawać o czwartej rano, a wśród dnia spać dwie lub trzy godziny. Można pracować długo z wieczora i dłuższego rankiem używać spoczynku. Można spać wieczorem od dziewiątej do pierwszej, pracować od pierwszej, a potem znowu parę godzin wśród dnia odpoczywać. Ale nie śpiąc w łóżku się przewracać, to krzywda dla duszy i ciała. Wiele osób wyobraża sobie, że potrzebują więcej snu, niżby im w istocie wystarczyło i chcą koniecznie spać dziewięć, dziesięć godzin, choć im to bynajmniej do zdrowia nie jest potrzebne.

Można sobie przy łóżku urządzić pulpit i leżący czytać lub pisać, aby nie siedzieć nocą w zimnym pokoju. O wiele lepiej można znieść nocną pracę, jeżeli przytem część ciała odpoczywa. Nie jeden wyobraża sobie, że jest rozdrażniony, że ma gorączkę i bicie serca, a jemu tylko brak energii, aby zapalić lampę i pracować, póki oczy same się nie skleją.

Najczęściej ludzie skarżący się na rozdrażnienie, mają zupełnie zdrowe nerwy, a tylko zbyt mało czynne w stosunku do ich siły. Niechaj się cieszy, kto mało snu potrzebuje, niechaj obliczy ile zyskuje czasu, jeżeli tylko

umie skorzystać z każdej chwili czuwania. Trzeba tylko mieć zwyczaj przysposobić sobie zawczasu wszystko, co do pracy potrzebne, jasną lampę, pulpit, pióro i książki, tak, by próżno czasu nie tracić, a wtedy te straszne bezsenne noce zamieniają się w najmilsze godziny, w których siła do pracy podwoi się i potroi, a myśli wśród nocnej ciszy staną się tak wyraźne, że nieledwie głosem mówić będą. Można też w nocy zająć się jaką ręczną pracą, mało męczącą oczy, lub ćwiczyć się na głuchej klawiaturze, a tym sposobem oszczędzić sobie parę godzin dnia, które potem innym poświęcić możemy zajęciom.

Jednym tylko pod żadnym pozorem nie wolno w nocy się zajmować, a mianowicie czytaniem powieści, które rozbudzają i sztucznie nerwy podniecają. Ale praca, prawdziwa, pilna praca, daje zdrowy sen o każdej dnia porze.

Praca jest celem naszego ziemskiego istnienia, a każdy człowiek powinien w swoim zakresie jak największej jej ilości dokonać.

Tylko troski i choroby mogą na czas jakiś odjąć sen. Kto zaś w normalnych warunkach życia spać nie może, niechaj to przypisze nie rozdrażnieniu, lecz brakowi potrzebnej dla jego organizmu pracy. Czynne życie da mu z pewnością owe sześć, siedm godzin upragnionego snu. Kto wstanie o czwartej rano, temu sen poobiedni bardzo miłym będzie i wieczorem z radością uda się na spoczynek.

Tak czynią ptaki, a są to przecież ze wszystkich stworzeń najweselsze i najczystsze.

Bądźmy jak ptaki pracowici i weseli, a sen nasz będzie tak spokojny, jakbyśmy w Boże objęcia skłonili głowę pełną błogiego utrudzenia.



## Z twórczej niwy.



Zygmunt Różycki: „Liliowe śnienia.” Poezycy II. Kraków, Gebethner i Sp. — Warszawa, Gebethner i Wolff. 1905.

Zygmunt Różycki, autor wydanego przed kilku laty zbiorku poezji: „Tęsknota” — wypuścił w świat nowy tomik swych utworów, opatrzony sentymentalną nazwą „Liliowe śnienia.”

W poezjach swych autor daje nam kilkanaście nastrojów melancholii, smutku, a nade wszystko bezbrzeżnej i niewypowiedzianej tęsknoty.

Tęsknota — to kanwa, na której poeta wyszywa z właściwą obdarzonym dużą inteligencją, subtelnym artystom, prawdziwie piękne, plastyczne, po malarsku wyczute i harmonijnie ujęte w całość smętne i miłe sercu obrazy.

Wykwint formy, duże poczucie rymu i rytmu, zapal szczery i młodzieńczy, — oto zasadnicze cechy talentu p. Różyckiego.

Umie on nieskrępowany niczem, rozmarzony, błądzić po wonnych dywanach różanego gaju, to znów o błękitnej godzinie patrzeć, jak kwiaty zasypiają na ros perłowych miękkiej, błyszczącej pościeli, słuchać pieśni boru, płynącej zdaleka, niesionej powiewem lekkiego zefiru, to znów w ciche, wieczorne błękitne godziny pieścić się wonią jaśminów, lub kiedy złociste zadrzają lany, i róż rozmodlą się kielichy, omotany srebrnym półśnieniem usnąć cicho na piersi ukochanej kobiety, pragnąc zapomnieć o tym żalu, który mu w życiu szczęście płoszy...

Dość mu spojrzeć na lazur nieba, aby perlistą kaskadą słów wyspiewać symfonię jasnej, pogodnej pieśni, a gdy mu czasem serce smutkiem załka, gdy jad zwątpienia do duszy mu spłytnie, — wówczas pokornie, z wiarą silną, niezachwianą, wyciąga ręce ku Panu Zastępów, aby w rzewnej, gorącej prośbie ubłagać Go o serce kowane w granicie, o myśli spokojne i jasne; a pokrzepion wiarą na duszy i sercu, znów marzy o tej jasnej łące, która tam, gdzieś, w przestrzeni, w objęciach turkusowej, niezmaconej ciszy, bujnie się zieleni i aromatem białej wiosny dyszy, to znów zachwyca się kwiatami, które na niej rosną, kwiatami, utkanymi z mgły porannej lekkiego przedziwa, gdzie słońce swe desenie i swój wzór bogaty na aksamitach trawy misternie wyszywa; to znów jakgdyby uniesiony własnym zachwytem, porwany nagromadzeniem w piersi uczuciem, wybucha silną, namiętną żądzą odetchnięcia po smutkach życia w tej zacisznej, ukojonej przystani i posiąść nareszcie to szczęście, za którym na próżno goni na ziemi...

Różycki w swych utworach nie jest apostołem ogólnoludzkiej idei, nie ślęczy nad dociekaniami praw życiowych, nie sonduje skalpelem chirurga modernisty swej duszy, ciała, mózgu, nie „jęczy” nad nicością świata i wszystkich rzeczy, które jego są, nie „pławi się” we krwi własnej; daje to tylko, co mu w piersi gra, w co wierzy, co w sercu czuje, co mu w duszy śpiewa, co piękne, miłe i co kochać warto.

Czasami jednak poeta zamyśli się dłużej, bezwiednie trąci w struny skargi rzewnej a serdecznej, aby po chwili znów trysnął czarem stubarwnych dźwięków seledynowej lutni księżycy, lub upojony wonią bzów, narcyzów, konwalii patrzeć, jak w słonecznych blaskach motyle w lekkim płasie wirują, płaczą się i gonią...

W dzisiejszych czasach modernistycznej poezji, gdy wszystko grzmi, huczy, szaleje i miota się, gdy „wściekle” huragany burz zmywają pleśń konserwatyzmu, ustępując „postępowi” — dobrze jest czasami „znękaną” duszę odświeżyć, „skrawione” serce obmyć, „zwichrzone” myśli ukołysać poezją czystą, miłą, jasną, a nade wszystko płynącą szczerze z serca i szczerze do serc przemawiającą. A taką strawę w tomiku poezji Różyckiego znaleźć może każdy.

St. Lew.



## Kronika działalności kobiecej.



— Pani Marya Słupska, artystka-malarka, właścicielka i kierowniczka szkoły malarsko-rysunkowej otrzymała od władzy odnośnej pozwolenie na udzielanie świadectw za ukończony kurs w jej szkole. Pani Słupska prowadzi nadto klasę malarstwa i sztuki dekoracyjnej dla kobiet, przy Muzeum Przemysłu.

— Francya. Wdowa po Emilu Zoli ofiarowała państwu sławną willę męża pod Medanem, z warunkiem, żeby w niej założono przytułek dla kobiet niemogących pracować. Pracownia Zoli ma być z pod ogólnych preróbek wykluczona i na pamiątkę pozostać nietknięta.

— Szwajcarya. Niedzielny odpoczynek dla służących przedyskutowany został przez wszystkie stowarzyszenia dla kobiet pracujących i zdecydowano: odpoczynek niedzielny co drugą niedzielę i jedno wolne popołudnie każdego tygodnia.

— Hollandya. Nagrodę za historyczną konkursową pracę, ogłoszoną przez Towarzystwo naukowe w Amsterdamie — „Teylers Genootschap.” otrzymała panna Johanna W. Naber. Dzieło p. Naber nosi tytuł: „Czasz nowowania Francuzów w Niderlandach od roku 1810 go do 1813-go.

Ogólne Zgromadzenie przedstawicielek związków i stowarzyszeń kobiecych w Hollandyi odbyło się w Rotterdamie 12-go i 13-go t. m.

— Berlin. Znana autorka i gorąca propagatorka reformy kobiecego ubrania, pani Józefina Gratz, zapowiedziała szereg odczytów, przedstawiających reformę stroju z rozmaitego punktu widzenia.

— Monachium. Panna Lili Wedell świetnie złożyła państwowy egzamin w Uniwersytecie monachijskim z ukończonego fakultetu medycznego. Panna Wedell jest pewnie najmłodszym lekarzem-kobietą w Niemczech, albowiem skończyła zaledwie lat 23.

— Baden. Pierwszy raz w Badenie dwie kobiety, panna Eliza Rocholl i hrabina d-r Wartensleben, złożyły egzaminy na stopień filologii klasycznej.

— Jena i Frankfurt n. M. W dwóch tych miastach stowarzyszenia kobiece wystąpiły do ministerium oświaty z petycją o wprowadzenie koedukacji w gimnazyjach i szkołach realnych. Professor Rein w Jena gorąco sprawę tę popiera, tak z ideowych jak i z ekonomicznych względów.

Z. S.

## Kroniczka.

— W mieście naszym przystąpiono do założenia nowego parku dla zabaw dziecięcych, na posesyi obejmującej 15,000 metrów kwadratowych, pomiędzy ulicami: Żelazną Starynkiewicza i Koszykową. Roboty ziemne rozpoczęte zostały pod osobistym dozorem ogrodnika miasta p. Fr. Szaniora. Park powyższy urządzony zostanie podług wzoru ogrodów Raua i przystosowany do wszelkich zabaw na świeżem powietrzu. Kosztorys robót publicznych przewiduje wydatek 6,035 rubli. Robota potrwa około dwóch miesięcy, t. j. do 1-go Lipca; zatrudnia przeciętnie 100 ludzi dziennie z płacą po 70 kop. za dziewięciogodzinny dzień pracy.

Bliskość rozmieszczenia gmachów szpitala Dzieciątka Jezus przyczyni się do urzeczywistnienia nadziei i projektu, aby młode matki, rekonwalescentki, a także niemowlęta i dzieci z domu podrzutek znajdowały tamże ożywą oazę zieleni i powietrza. W obecnej dobie gospodarz szpitala p. Karpus, ofiarował się dostarczać bezinteresownie dwa razy dziennie gorącą wodę do herbaty dla robotników, aby im dać możliwość rozgrzania się i racjonalnego posiłku.

Dnia 19-go b. m. ks. Gąssowski dokonał aktu poświęcenia robót publicznych. Kierownikiem tychże jest p. Bohuszewicz, fachowiec, który z wielkim uznaniem odzywa się o zaletach i sprawności naszego robotnika. Sekcja robót publicznych zabiega, aby zapewnić pracę i zarobek tyłu ludziom bez zajęcia, zakładając nowe parki i ogrody, tak potrzebne ze względów higienicznych i estetycznych, któreby zwiększonej ludności zapewnić mogły wypoczynek dla płuc i nerwów, steranych w codziennym kłótni, kojącą zielenią dla znużonych oczu i rozrywkę w otoczeniu natury i jej najpiękniejszych tworów—dzieci ziemi. Dobrowolne opodatkowanie w stosunku 1% od opłacanego rocznie komornego, składane na ręce delegatów Sekcy; będzie pierwszym krokiem solidarnej pomocy społecznej ku celom dobra ogólnego.

— W „Domu Ludowym“ na Muranowie wydano w ciągu miesiąca (od 14-go Marca do 14-go Kwietnia) ogółem 10,300 bezpłatnych obiadów dla biednych dzieci. W dniu otwarcia wydano 104 obiady, w tydzień czasu już 246 w dziesięć dni 341, dnia 4-go Kwietnia 400, w dniu 15-y t. m. 500. Wobec zgromadzenia się wielkiej ilości działki, rozpoczęto także wydawanie obiadów w „Domu Ludowym“ na Pradze. Koszt obiadu, składającego się z talerza zupy i poreyi chleba, wynosi dwie kopiejki.

Bolesław Prus omawiając powyższą kwestję w jednym z bieżących felietonów, dodaje: „Za dwa papierosy obiad... za kieliszek wódki w restauracyi — pięć albo i dziesięć obiadów... za butelkę szampana—trzysta pięćdziesiąt obiadów... Jezu, cóż to za dziwne cyfry! I czy nie należałoby otworzyć w różnych innych punktach miasta tego rodzaju jadalni dla biedactwa?“

Czy nie mogłyby one również powstać kosztem zrzeszonych sił prywatnych?

— „Wiek“, pismo codzienne (z dodatkami świątecznymi i ilustrowanymi), wydał obecnie prospekt, w którym zawiadamia, iż uzyskał od głównego zarządu prassy zezwolenie na rozszerzenie dotychczasowego pisma i uzupełnienie tytułu dotychczasowego drugim: „Kuryer Narodowy“. Zadaniem jego jest utworzenie dziennika prawdziwie narodowego i w tym celu redakcyja powołuje wszystkich obywateli kraju do wspólnej pracy pod godłem narodowego rozwoju. „Ta myśl przewodnia, najdroższa i najbliższa sercu każdego Polaka, górować będzie w „Kuryerze Narodowym“ po nad wszystkimi innymi i stanowić jego cel i kierunek,“ a dalej: „Jednemu tylko Bogu służyć będziesz“—powiada Pismo św. — „My idei Dobra Narodowego ślubujemy wiare.“

Pierwszy numer ukaże się w dniu 30-go Kwietnia. Aby ułatwić publiczności zapoznanie się z nowym pismem redakcyja rozsyłać je będzie za cały miesiąc próbnym Maj, za opłatą kop. 20, na prowincye z przesyłką pocztową kop. 30.

Prospekt jest ozdobiony wizerunkiem Józefa Wybickiego, męża stanu i publicysty (ur. 1747, zm. 1822 r.).

— Ukazał się drugi numer przedświąteczny „Czasu Mazowieckiego“, ilustrowany, przeznaczony ku rozrywce czytelników. Cały układ obejmuje dwa kierunki skrajne: jeden poświęcony filosemitom, drugi antysemitom. Inne rubryki zawierają wiadomości bieżące, sparodyowane.

— Nakładem drukarni Szyllera wyszła (dnia 15-go) jednodniówka konkurencyjna p. t. „Czas Warszawski“, który ze względu na naśladownictwo, jako też zbyt przejrzyste alluzje i wycieczki osobiste, nie zyskał tego uznania, co jego poprzednik i współzawodnik „mazowiecki.“

— W Monachium niebawem zainteresowanie wywołała sprawa uwięzienia Laury Marholm i umieszczenia jej w domu obłąkanych pod zarzutem niepoczytalności. Laura Marholm jest jedną z bojowniczek feminizmu oryginalnie pojętego. Zaslęła jako autorka „Książki dla kobiet“ („Das Buch der Frauen“). Jako żona duńskiego nowellisty Ola Hansona i kobieta niezwykle inteligentna, odgrywała niepoślednią rolę w kolonii skandynawskiej w Berlinie.

— W Kopenhadze utworzono pierwsze „Stowarzyszenie polityczne kobiet“, mające na celu przygotowanie kobiet do współdziałania w życiu politycznym. Na pierwszym zebraniu omawiano prawo o wychowaniu dzieci opuszczonych i wzywano najudolniejszych z uczestniczek do zorganizowania odpowiedniej nad nimi opieki.

— Dnia 22-go b. m. zmarła w Berlinie znakomita artystka dramatyczna *Jadwiga Niemann-Raabe*. Z początku zasłynęła w rolach naiwnych, później przeszła do repertuaru ról salonowych i humorystycznych.

## WOBEC WIOSNY.

(O hodowli roślin doniczkowych).

Niejednokrotnie daje się słyszeć pochwały i zachwyty nad wspaniałością barw i żywością kwiecia flory pokojowej i balkonowej zagranicą, osobliwie w Niemczech, gdzie kult ogrodnictwa mieszkaniowego jest bardzo rozpowszechniony. Jedną z przyczyn tego wspaniałego rozwoju roślinności pokojowej zagranicą jest systematyczna dbałość o podlewanie roślin doniczkowych, wodą zaprawianą sztucznymi nawozami zawierającymi albo specjalne sole pożywne dla tego lub innego gatunku roślin, lub ogólnie posilne dla życia roślin.

Wobec następującej wiosny, kiedy życie roślinne poczyna się budzić i wszystkie funkcje roślin zaczynają prawidłowo działać, nie dość rośliny przesadzić do świeżej ziemi, ale lepiej wpięrować je o tyle spotęgować przez podlewanie wodą posilną, iżby przesadzanie w Maju, Czerwcu, każda roślina zniosła bez najmniejszego uszczerbku, bo pospolite przesadzanie w Marcu, Kwietniu dokonywane po domach nie zawsze wiele gatunków roślin znosi bez osłabienia, ponieważ większość tych roślin w czasie zimy

o tyle osłabło w mieszkaniu, że wpięrować trzeba je odżywiać, żeby mogły łatwo znieść operacje przesadzania.

Zagraniczne fabryki nawozów sztucznych na potrzeby hodowli pokojowej wyrabiają specjalne nawozy sztuczne, sprzedawane w blaszanych puszkach, w funtowych ilościach, za kilkanaście pensów, centymów, lub fenigów. Ponieważ u nas dotąd żadna fabryka tego przetworu nie wyrabia, więc „Heureka“, nawóz dla roślin doniczkowych zagranicznego pochodzenia sprzedają sklepy ogrodnicze i sklepy apteczne.

Sposób przygotowania wody nawozowej, pozbawionej naturalnie jakiegokolwiek zapachu, objaśniają przepisy na puszkach wydrukowane. Z krajowych fabryk nawozów sztucznych fabryki pudrety p. H. Radziszewskiego lub Lubomęckiego, powinny by dać inicjatywę, wypuszczając na rynek w ładnym opakowaniu sztuczny nawóz do roślin doniczkowych. Można by radzić użycie saletry chilijskiej do podlewania wodą saletrzaną roślin pokojowych, lecz potrzeba dużej wprawy, żeby roślin nie przekarmić a zatem zgubić, jak to wielokrotnie bywa, gdy się nie dość ostrożnie postępuje, przy podlewaniu roślin doniczkowych wodą saletrzaną; dlatego trzeba korzystać z nawozów i przepisów firm obco krajowych fabrykantów.

O ile na jesieni, w zimie, trzeba bardzo umiarkowanie rośliny doniczkowe podlewać, o tyle teraz, wobec nadchodzącej wiosny podlewanie powinno być obfitsze. Najlepszą oznaką, czy roślina jest dostatecznie podlana, przedstawia ostukiwanie donic palcem i gdy dźwięk jest stłumiony, to podlanie jest właściwe—w przeciwnym wypadku, gdy dźwięk jest głośniejszy, a suchy, to podlać trzeba raz jeszcze. Oprócz tego, łatwość przesiąkania wody wglęb lub zostawianie na powierzchni jest drugą wskazówką, czy dalej podlewać, czy zaniechać tej roboty. W każdym razie, z chwilą rozpoczynającej się wiosny, raz jeszcze trzeba dokładnie omyć wszystkie liście gąbką lub wytrzeć zwilgoconą watą, a drobne listki spryskać rozpylaczem wodą ocieploną. Potem trzeba przystąpić do podlewania wodą zasiloną nawozami sztucznymi, a znacznie już ożywione rośliny w końcu Kwietnia lub Maja trzeba przesadzić do nowych wazonów i świeżej ziemi. Lecz trzeba się poinformować u ogrodników, jak sadzić i jakiej używać ziemi do tych lub innych roślin.

W. Wojciechowski.

## ODPOWIEDZI.

— 8 W. — Jeden do zwrotu. Z innych skorzystamy. Polecamy się pamięci.

— Prenumeratorce.— Adresów nie posiadamy.

### Treść numeru:

Bezstylowość życia współczesnego, przez Walerego Gostomskiego.— Joan. VIII, 1—12, powieść, przez Maryę Rodziewiczównę (ciąg dalszy). — Wiosna na obczyźnie (wiersz), przez Wandę Krasuską-Moryczową. — Czego żądać powinny dzisiaj kobiety? przez K. D.-Strzelbickiego.— Piórem i ołówkiem, przez Jana Ładę (ciąg dalszy). — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Szkoła języków obcych (gildya międzynarodowa), przez E. Żmijewską. — Carmen Silva: Radość i Bezszenność. — Z twórczej niwy, przez St. Lew.— Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.— Kroniczka.— Wobec wiosny (o hodowli roślin doniczkowych), przez W. Wojciechowskiego.— Odpowiedzi.— Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się początek opowiadania Bjönsterne-Björnsona p. t. „Pyl.“

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 17). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz“

KSIAŻKA ZBIOROWA p. t.

# „Kobieta Współczesna”

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszczu.”

Prenumeratorki „BLUSZCZU” płacą za powyższe dzieło  
**tylko rb. 1.**

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

**Źródłem siły  
dla wszystkich osłabionych,**

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energii skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

**SANATOGEN BAUERA**

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskiem.  
Wystrzegaj się bezwartościowych naśladownictw.  
Brozury na żądanie wysyła bezpłatnie S. Karczewski,  
ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.

BIURO NAUCZYCIELSKIE  
**GRETILLAT**  
Ś-to Krzyżka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospodynie, panny służące.

WYKWINTNE KAPELUSZE  
i SUKNIE ŻĄŁOBNE  
**F. ŚWIEJKOWSKI**

132 Marszałkowska. ☎ Telefonu 1954.

Józef Jankowski.

# ZWROTKI

Wydawn. GEBETHNERA i WOLFFA

Na wytornym angielskim papierze z portretem autora



**Cena 75 kop.**

Zamawiający przez Redakcję „Bluszczu” nie ponoszą kosztów przesyłki.

**Jadwiga Golcz**  
Zakład fotograficzny

Hotel Bristol

winda do zakładu

12 szt. gabinetowych . . . . . 12 rb.

12 szt. wizytowych . . . . . 5 rb.

przyjmuje roboty amatorskie

**Najlepszy środek kosmetyczny**

nadający cerze świeżość i czystość



Crème CAZIMI

## Metamorphosa

przeciwko PIEGOM.

Dowodem autentyczności środka przeciw plegom jest podpis

i dołączony do każdego słoika rysunek

„ŹRÓDŁO PIĘKNOŚCI.”

Bez podpisu

i rysunku zatwierdzonego przez Depart. Hadlu i Manuf. za Nr. 4683—

**FALSYFIKAT.**

Do nabycia we wszystkich składach mater. aptecz., perfumer. i aptekach.

MAGAZYN

## UBIORÓW DZIECINNYCH

oraz Umundurowania dla Uczniów

Poleca

### S. PRZEZDZIECKI

5. Mazowiecka 5.

LEKARZ DENTYSTA

### A. ZAWADZKI

Marszałkowska 108 róg Chmielnej.

## Ciechocinek.

Pensjonat „Zachęta 2-ga” na piaskach blisko kościoła, łązienek, parku. Za pokój z pościelą i utrzymaniem: 2 rb, 2,50, 3 rb., 3,50, największy 4 rb. dziennie. Zamawiać można do 15 maja: Moniuszki 9, Helena Prawdzic-Kuczalska.

Zeszyt w prenumeracie kop. 42:

PRENUMERUJCIE

# NOWOŚCI MUZYCZNE

Jedynie polskie czasopismo, poświęcone literaturze fortepianowej.

Wychodzi przy końcu miesiąca zeszytami objętości 20 str. nut i tekstu.

Na treść pisma w kwartale I-ym złożyli się: utwory salonowe, taneczne, melodie ludowe, duet z II-go aktu op. „Andrzej Chénier”. — Walce z op. „Konsul generalny” i t. p. następujących autorów: Konst. ks. Lubomirskiego, prof. A. Michałowskiego, W. Nadolskiego, W. Osmańskiego, M. Swierzyńskiego, I. Worobeckiego, U. Giordano, H. Reinhardta i innych.

Komplet kwartalny pisma składa się z 24 utworów na fortepian. W dziale literackim liczne prace z dziedziny muzyki.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie: Rocznie rub. 5, półrocznie rub. 2 k. 50, kwartalnie rub. 1 k. 25.

Z przesyłką pocztową: rocznie rub. 6. — W Ameryce rub. 7.

Zeszyt pojedynczy kop. 60, z przesyłką pocztową, kop. 75.

**Premium bezpłatne** dla rocznych abonentów: *Trzy zeszyty* do wyboru z lat poprzednich.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Warecka 15.

Agentura dla Galicji: u St. Sokółowskiego we Lwowie, Pasaż Hausmana № 9.

Wydawca: *Piotr Laskauer*. — Redaktor: *Maryan Gawalewicz*.

Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Апрелья 1905 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

(Dok. opisów do Nr. 16).

№ 16. Krótki kaftanik do kostiumu.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 100-102).

Kaftanik z czarnego sukna przybiera czarna pletnia, sutasz, srebrna torsadka, guziczki oraz wypustka z materyi w czarne i białe paski. Kaftanik wykończony na czarnej, jedwabnej podszewce.

№ 17. Staniczek zastępujący gorset.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 114-120).

Staniczek pod lekkie bluzki zastępujący gorset, wykonany z białej atlasowej dymy lub satyny, wycięty z przodu i oszyty w górze i przy wycięciu pach walencienką i ażurkiem do podwleczenia wstążeczką. Po zeszytciu pojedynczych części, szwy należy pokryć jeden cent. szer. nalebnowań plisną. Środkiem przodu i na szwach bocznym w pliski 2 1/2 cent. szer. należy wszyć po 4 sznurki. Plecy niezasyte zaopatrzone paskami, krzyżują się, a paski zapinają z przodu na haftkę.

№ 18. Staniczek na gorset, przybrany haftem.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 110-113).

Staniczek z szyrtingu, zapinany na guziki, łożbi w górze szeroki haft, zaopatrzone wsta-

weczką do przewlekania wstążeczek. Góra staniczka i wykrój pachy oszyte koroneczką lub hafcikiem.

№ 19. Paltocik dla chłopca od 11-13 lat.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 88-91).

Paltocik z granatowego szewiotu na podszewce z szarej półjedwabnej serge, zapięty na dwa rzędy guzików. Na wykładanym kołnierzu wyszyte z jasnego sukna godła marynarskie, a na prawym rękawie haftowana kotwica.

№ 20. Fartuszek dla dziewczynki od 4-6 lat.  
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 44-48).

Fartuszek z niebieskiego kretonu przybiera dwa ponsowe kwadraty 5 ctm. duże haftowane kolorowym jedwabiem. Kwadraty otacza biała wypustka. Pliski 1 ctm. szer. z białymi i ponsowymi wypustkami zdobia cały fartuszek. Dół otacza falbanka 24 ctm. szer., naszyta ponsową, 1 ctm. szer. plisną i przymocowana takąż plisną z białymi wypustkami.

Zapięcie z tyłu. Rękawek zmarszczony, ujęty w ponsowy mankiecik z białą wypustką.

№ 21. Fartuszek dla chłopczyka od 5-7 lat.

Fartuszek z piki przybrany 1/2 ctm. szerok. pliskami z niebieskiego kretonu, opatrzony du-

żą kieszenią na środku przodu. Fartuszek w okolo oszyty 1 ctm. szer. niebieską plisną, skrzyżowany na plecach, zapięty na guziczki na remionach.

№ 22. Ogrodowy i gospodarski fartuch z rękawami.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 103-107).

Fartuch z szarego płótna, zapinany z tyłu, przybierają pliski z ponsowej satyny 1 ctm. szer. Zmarszczony fartuch wszyty w podwójny karzeczek przybrany pliskami. Dół na 7 ctm. wysoko naszyty plisną. Rękaw marszczony ujęty w mankiet, ostro ścięty, otaczają pliski. Wykrój szyi i kieszenie zdobia pliski.

Wzory ubiorów i robót do № 17.

№ 1 i 2. Kapelusze: wiosenny i letni dla młodej osoby.

Kapelusz ryc. 1 z czarnej cienkiej ryżowej słomki z wysoką główką i dużym rondem, mocno podniesionym z lewego boku. Rondo podszyte w połowie białą słomianą pletnią. Ukos czarnego aksamitu Liberty, przewleczony przez stalowe klamry, otacza główkę. Czarne i białe strusie pióra, upięte z lewego boku spadają na



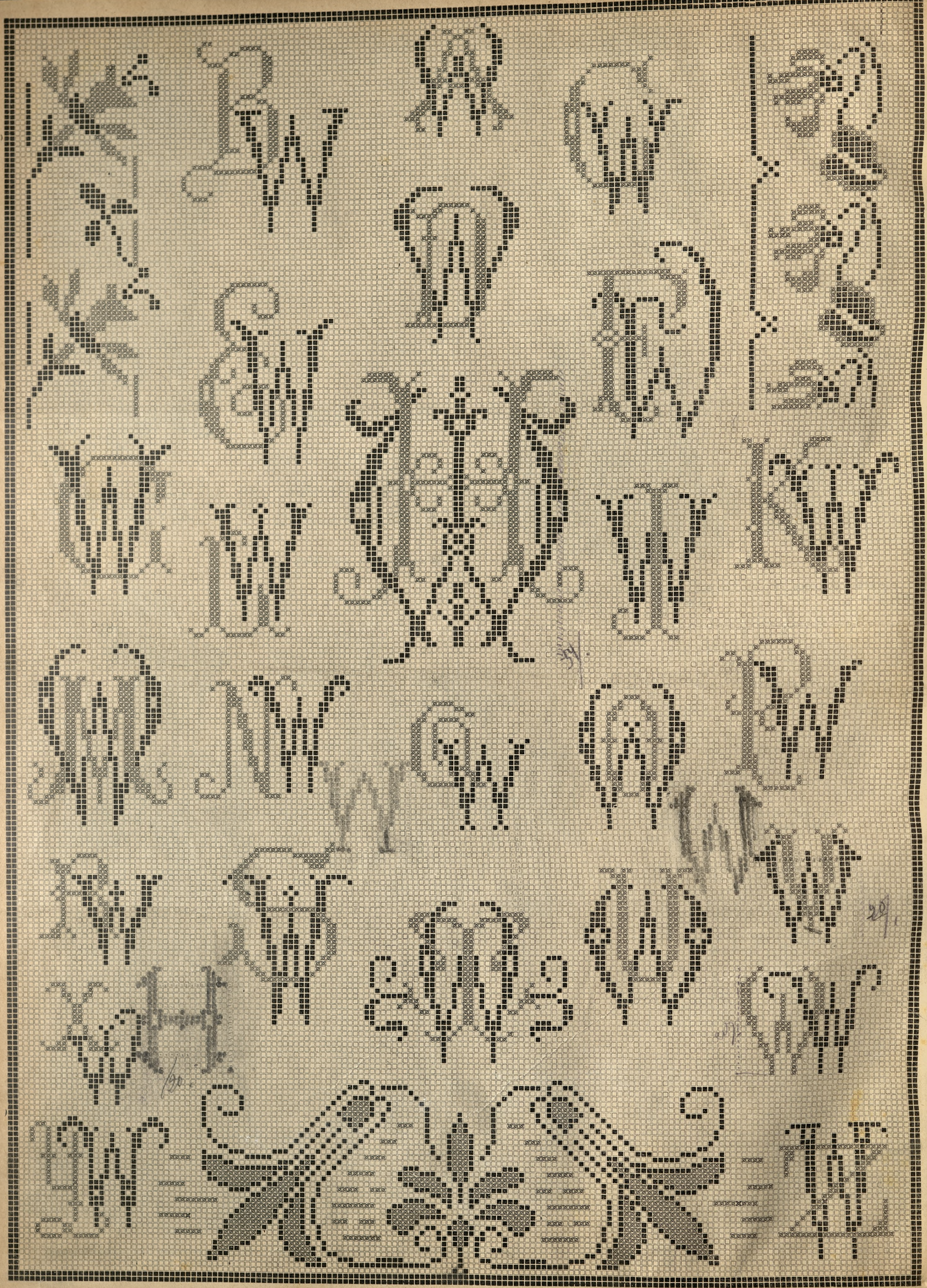
№ 1. Kostium z materyału w kratkę, przybrany materyałem gładkim.

№ 2. Suknia batystowa dla młodej osoby.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 75-78).

№ 3. Suknia z materyału do prania dla dziewczynki od 11-13 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 93-99).

№ 4. Suknia fularowa, przybrana falbankami. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 21-29).





Monogramy z liter W i ozdoby do bielizny robota ludzka